Wpisano do inwentarza
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 30 IV Nr. 1960 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 1 Maja 1960 r.

Nr 17 (113) Cena 1 zł

Niech się święci 1 MAJA

Jeśli dziś, w drugiej połowie XX wieku na miejscu dawnej, zacofanej Rosji carskiej rozkwita budujący komunizm Związek Radziecki, jeśli w kosmosie unoszą się rakiety oznaczone herbem socjalistycznego państwa, jeśli miliard ludzi uzyskał wolność od nędzy, wyzysku klasowego i ucisku narodowego, jeśli z lawinową szybkością pękają kajdany kolonialnej niewoli na wszystkich kontynentach od krańców Azji po czarną Afrykę, jeśli rozwinęła się na całym świecie walka o pokojowe współistnienie i ludzkość po raz pierwszy w swych dziejach uzyskała realną nadzieję uwolnienia się od koszmaru wojny — to te dobroczynne przemiany w swym życiu zawdzięcza ludzkość leninizmowi.

WŁADYSŁAW GOMUŁKA

MIECZYSŁAW BANDURKA

PO RAZ PIERWSZY W NASZYM MIEŚCIE

Pod koniec ósmego dziesięciolecia, w roku 1878 — za przykładem Warszawy — powstaje w Łodzi pierwsze kółko socjalistyczne, zrzeszające robotników różnych fabryk. Kółko łódzkie utrzymywało więź organizacyjną z kółkami warszawskimi. Do Łodzi zaczynają też docierać pierwsze nielegalnie wydawane broszury socjalistyczne. Wkrótce powstaje nowa organizacja o szerszym zasięgu działania — partia „Proletariat".

Łódź wkroczyła w okres nowoczesnego ruchu robotniczego opartego o przesłanki idei socjalistycznej.

Komitet Centralny „Proletariatu" mieszczący się w Warszawie działał za pośrednictwem wysłanników — agitatorów. W niedziele i święta podłódzkie lasy były miejscem schadzek robotniczych, gdzie czytano nielegalną literaturę, wysłuchiwano wysłanników z Warszawy oraz omawiano inne aktualne zagadnienia.

W latach następnych w Łodzi pojawiają się dość liczne wydawnictwa „Proletariatu" i genewskiego „Przedświtu", a w roku 1883 odezwa wydana przez łódzki oddział „Proletariatu". W tymże też roku łódzkie fabryki ogarnia fala strajków ekonomicznych. Policja carska nieprzerwanie zapełniała więzienia i miejsca odosobnienia łódzkimi działaczami.

Lata dziewięćdziesiąte przynoszą nowe ożywienie ruchu. Stało się to w związku ze świętem 1-go Maja, świętem międzynarodowej solidarności robotników. W lipcu 1889 roku na I Kongresie II Międzynarodówki w Paryżu, przyjęto uchwałę nawołującą partie socjalistyczne wszystkich krajów do organizowania w dniu 1 Maja każdego roku demonstracji robotniczych, mających podkreślić wspólność interesów wszystkich krajów w walce o wspólne cele. Uchwała ta brzmiała: *„Będzie urządzona wielka międzynarodowa manifestacja w dniu oznaczonym, w tym celu, ażeby we wszystkich krajach i miastach jednocześnie robotnicy wezwali władze publiczne do wprowadzenia prawa, ograniczającego liczbę godzin pracy do 8 godzin i wykonania innych postanowień Kongresu Paryskiego"*.

W demonstracjach pierwszego obchodu majowego w r. 1890 wzięły udział setki tysięcy robotników Austrii, Niemiec, Anglii, Francji, Hiszpanii, Holandii, Danii, a także i Polski.

Hasła uchwały Kongresu Paryskiego stanowiły zwrot w ruchu robotniczym. Niesłychanie aktualne, żywotne

(Dokończenie na str. 2)

Na str. 5

MIESZANKA WYŚCIGOWA

- Mały leksykon kolarstwa
- Trasa przyszłości: PARYŻ—MOSKWA
- Szkoła ASÓW
- BYZNES—CYRK—SPORT?

Na str. 3

- Wielki konkurs sportowy pt. „NASZ WYŚCIG"

WIESŁAW KACZMAREK

ROZWAŻANIA NA OKOLICZNOŚĆ MISTERIUM

Jak co roku zbliżamy się do ogólnonarodowego misterium sportowego. Wyścig Pokoju znów podnieca miliony ludzi bez względu na wiek, zawód i płeć. Jak co roku widowisko z kolarzami stworzy na jakiś czas złudzenie popularności i powszechności sportu w naszym kraju.

Pierwszym sygnałem zapowiadającym nadejście tego rozgorączkowania walką kolarzy jest pościg za biletami. Nawet pamiętny występ Kiepury nie stworzył pokątnym przekupniom takich szans, jak Wyścig Pokoju. Chroniczny brak kart wstępu na metę łódzkiego etapu wywołuje tu i ówdzie wołanie o rozbudowę jedynego dużego w mieście stadionu. W tym okazjonalnym myśleniu o potrzebie rodzimego Coloseum wyraża się nasz typowy, czysto emocjonalny, pozarozumowy stosunek do spraw sportu. Oczywiście, na takie okazje jak Wyścig Pokoju poczciwy staruszek na Karolewie jest za mały. Ale czy po to, żeby zjeść raz w roku kilo gruszek trzeba kupować sad? Przecież w 48 godzin po przejeździe barwnej kawalkady zawodników temperatura nastrojów sportowych spada do powszedniego minimum. Ogólnonarodowe misterium idzie w niepamięć na następne dwanaście miesięcy.

MECHANIKA EKSPLOZJI

Zawsze pasjonowała mnie mechanika tej corocznej eksplozji sportu w narodzie. Widziałem tłumy tkwiące wzdłuż ulic i szos na deszczu lub spiekocie, wyczekujące długimi godzinami na przejazd kolarzy. Ci pędzili najczęściej zwartą masą, nierozpoznawalni zza warstwy kurzu lub błota, niemal bezosobowi. Mignęli w ciągu sekundy i było to całe spotkanie z Wyścigiem. Tylko zdecydowani outsiderzy, wlokący się żałośnie daleko za pierwszą linią walki, pozwalali dokładniej się obejrzeć. Kiedyś Albańczycy a następnie Hindusi dawali widzom tę wątpliwą satysfakcję bliższego kontaktu ze zmęczonymi zawodnikami. W całości jednak Wyścig odbywa się poza zasięgiem wzroku obserwatorów. Wiedzą o nim tyle, co zdążą im przekazać reporterzy gazet sportowych lub notorycznie podekscytowani i równie niedokładni sprawozdawcy radiowi.

A więc wyobraźnia gra rozstrzygającą rolę w istotnym lub tylko pozornym poznawaniu faktów, które zaszły albo zaledwie mogły zajść na trasie walki. Fantazja — oto czynnik sprawczy popularności tej imprezy. Zawody rozgrywane w zamkniętej przestrzeni odbywają się pod bezwzględną kontrolą wzroku publiczności. Szosowy wyścig kolarski stwarza jej nieograniczone możliwości imaginowania sobie dowolnych pe-

(Dalszy ciąg na str. 2)

Seryja III. Kwiecień 1893. Nr. 4

PRZEDŚWIT

CZASOPISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE

Towarzysze, pamiętajcie o Święcie Majowem!

Winieta tytułowa czasopisma „Przedświt" z roku 1893

Po raz pierwszy w naszym mieście

(Dalszy ciąg ze str. 1)

i pociągające (skrócenie dnia pracy, powiększenie płacy) i fascynująca nowa forma masowego, równoczesnego wystąpienia, wywarły wśród proletariatu głębokie wrażenie. W manifestacjach robotniczych biorą udział nie setki, ale tysiące uczestników.

W takiej atmosferze napięcia rozpoczęła się agitacja przygotowawcza do obchodu święta robotników. W Warszawie i w Łodzi partia „Proletariat" rozrzuciła odezwy. W Łodzi ukazała się odezwa skierowana do robotników niemieckich wzywająca do solidarności z robotnikami polskimi. Odezwy wzywając do solidarnego wystąpienia robotników wysunęły hasła walki o 8-godzinny dzień pracy i podwyżkę płac. Proletariat Warszawy odpowiedział strajkiem politycznym porzucając masowo pracę.

Obawy, jakie wyrazili polscy delegaci na Kongresie Paryskim, iż wobec srożącego się terroru carskiego w Królestwie Polskim wystąpienia mogą się nie udać, okazały się niesłuszne. Robotnicy polscy swoim czynnym udziałem w pierwszym na skalę światową masowym obchodzie 1 Maja, wykazali swą aktywność i związek z robotnikami innych krajów. Hasła Kongresu zostały rzucone na dobrą glebę. Lud polski posiadał już dostateczne doświadczenie, o czym mogą świadczyć m. in. przedsiębrane przez władze carskie środki ostrożności.

28 kwietnia naczelnicy powiatów i policmajstrzy Piotrkowa i Łodzi otrzymali tajny rozkaz gubernatora. Gubernator przewidując wystąpienia 1-majowe robotników poleca w miarę możliwości przygotować środki bezpieczeństwa podobnie jak w ubiegłym roku.

Zgodnie z poleceniem policja winna działać „przezornie i ostrożnie, a gdzie zajdzie konieczność, bardzo energicznie". W dalszej części swego pisma gubernator poleca szukać odezw wzywających do świętowania 1 Maja jak też odezw poświęconych Konstytucji 3 Maja. Do wiadomości naczelników i policmajstrów gubernator podaje, że w Łodzi nieznani osobnicy rozprzestrzeniają broszury pt. „1 Maja, międzynarodowe święto robotników", wydane przez „Organizację Proletariat". Ze względu na powagę sprawy gubernator poleca donosić o wszelkiego rodzaju wystąpieniach.

W przeddzień 1 Maja policmajster m. Łodzi zapobiegawczo zarządza zwiększenie ilości patroli w mieście oraz wzmacnia je żołnierzami. Przyczyną tych kroków były zapewne odezwy rozpowszechniane od kilku dni w mieście oraz wspomniana już broszura „Proletariatu", która była przedmiotem kilku raportów władz carskich. Poważne też zamieszanie w normalne życie urzędników carskich wniosły inne broszury wychwytywane w różnych punktach miasta w dużych ilościach. Naczelnik powiatu łódzkiego i policmajster m. Łodzi mogli na przemian donosić o swych „sukcesach" w tej dziedzinie.

Jak wynika z raportów, sposób rozpowszechniania był różny, np. 27 kwietnia w Zgierzu wykryto broszury zaadresowane do robotnika Nejskiego z fabryki Hoffmana z adnotacją, że w wypadku nieobecności adresata przesyłkę należy wręczyć innemu robotnikowi. W ślad za tym raportem policmajster m. Łodzi w dniu 29 kwietnia donosi o znalezieniu w pobliżu fabryki Ludwika Majera 23 egzemplarzy broszury „Proletariatu", a w dniu 30 kwietnia o wykryciu 40 egzemplarzy tejże broszury w innych punktach miasta. Dużą ilość broszur znaleziono przed bramami większych fabryk.

Łącznie na terenie Łodzi do rąk policji carskiej wpadło 66 broszur „Proletariatu" oraz 2 broszury „Związku Robotników Polskich". Jak wszystkie, tak też łódzkie broszury wzywały do świętowania 1 Maja oraz wysuwania żądań ośmiu godzin pracy.

Masowe pojawienie się broszur i odezw zaniepokoiło nie tylko władze państwowe lecz w jeszcze większym stopniu fabrykantów. Główny wyzyskiwacz robotników łódzkich — Poznański już w przeddzień 1 Maja oświadczył wobec policmajstra, że *„on nie ręczy za swoich robotników, a tychże w jego fabryce jest kilka tysięcy i że jutro, tj. 1 maja rano lub w południe prawdopodobnie dojdzie do zamieszek"*.

Istotnie, Poznański nie omylił się. Już od rana robotnicy poczęli gromadzić się przed fabryką. Dopiero podanej przez Poznańskiego obietnicy, że o godzinie 12 przeprowadzi z nimi rozmowę, robotnicy przystąpili do pracy. Do przerwy obiadowej panował spokój. O godzinie 12 robotnicy rozeszli się do domów na obiad, by o godzinie 13 przystąpić do pracy popołudniowej. Jednak w kilkanaście minut przed rozpoczęciem popołudniowej zmiany przed bramą fabryczną zjawiła się grupa około 30 osób, przeważnie młodych robotników, którzy oznajmili, że nikogo do fabryki nie wpuszczą.

Syn Izraela Poznańskiego, Ignacy, próbował interweniować. Robotnicy przedstawili swoje pretensje oraz oświadczyli, że wobec niedotrzymania przez Poznańskiego podstawowych warunków pracy oraz wobec drożyzny, jaka zapanowała, oni w tej chwili wysuwają żądania podwyżki wynagrodzenia oraz skrócenia dnia pracy (w fabryce Poznańskiego były najniższe w Łodzi zarobki i najdłuższy dzień pracy, a ponadto stosowany tam system kar w poważnym stopniu obniżał płace robotników).

Robotnicy nie zlękli się pogróżek młodego Poznańskiego i „bezczelnie" — jak podaje policmajster, — —oświadczyli mu, że od bramy nie odejdą, a jeden z nich spoliczkował fabrykanta. Trwający dość długo zatarg nie mógł nie zwrócić uwagi patrolu, który w wyniku wczorajszej interwencji Poznańskiego u policmajstra bacznie obserwował robotników.

Interwencja patrolu nie odniosła pożądanego skutku. Dopiero konny oddział, który zjawił się na skutek telefonu policmajstra, składający się z kozaków i strażników ziemskich zdołał przywrócić porządek. Zajście wywołało widocznie duże wrażenie, bo oddziałem dowodził sam policmajster. W raporcie swym policmajster nie wspomina nic o sposobie rozpędzenia robotników — z innych jednak źródeł dowiadujemy się, że było to „uspokajanie nahajkami".

Mimo interwencji do pracy nie przystąpiło 190 robotników. Aresztowano 10 inicjatorów zajścia. Wieczorem po ukończeniu pracy robotnicy zamiast wracać do domów, ponownie zaczęli się gromadzić i radzić nad dalszymi krokami.

Stacjonujący w pobliżu patrol rozpoczął swe „działanie". W odpowiedzi na to jedna z grup w okolicy żydowskiego cmentarza obsypała patrol kamieniami, trafiając kapitana Stanisławskiego i jednego z żołnierzy. Dzięki późnej porze i ciemności patrol nikogo nie zdołał uchwycić. Robotnicy rozbiegli się.

Nazajutrz, 2 maja robotnicy przystąpili do pracy o zwykłej porze, tj. o godzinie 6 rano. Po obiedzie doszło do ponownego wystąpienia. 600 robotników na jednym z oddziałów jeszcze raz wystąpiło z żądaniem podwyżki płac. Tym razem zajście miało miejsce na podwórzu. Robotnicy zobaczywszy fabrykantą obstąpili go i poczęli wysuwać swoje żądania. Poznański naupzony wczorajszym doświadczeniem natychmiast zawiadomił policmajstra. Kiedy kwadrans później przybył policmajster, robotnicy już powrócili do swych zajęć, ale przedstawili ponownie swoje żądania.

Władze zaniepokojone zajściami oraz stałymi raportami inspektora fabrycznego wywarły nacisk na Poznańskiego, by ten podwyższył płace w swej fabryce do wysokości zarobków w innych fabrykach na terenie Łodzi. Były to konkretne zyski pierwszego wystąpienia majowego łódzkich robotników.

W porównaniu z latami późniejszymi wystąpienia te nie były jeszcze imponujące. Był to raczej skromny początek. Pamiętać jednak należy, że wystąpienia majowe 1891 roku przeciwko fabrykantom, przeciwko bezlitosnemu wyzyskowi stanowiły jak gdyby generalną próbę do masowych wystąpień pierwszomajowych 1892 roku, które przyjmą nazwę „BUNTU ŁÓDZKIEGO".

MIECZYSŁAW BANDURKA

A propos wiosna — ciekawa wiadomość: technika idzie naprzód. W Japonii wynaleziono sztuczne kwiaty, które pachną jak naturalne. Maluczko, a technika stworzy nam pełny arsenał akcesoriów wiosny i maja. Chociażby sztuczne kobiety. Urządzenie takie może mieć wielorakie zastosowanie i spełniać wszystkie funkcje kobiet prawdziwych wyjąwszy rodzenie dzieci, które to zastrzeżenie czynię z uwagi na prorządowe moje przekonania. Na jezdnie Piotrkowska zaroiła się prawdziwymi sztucznymi kociakami i ten fakt podziałał na mnie właśnie tak filotechnicznie.

Chodzę tą ulicą Piotrkowską wiele razy dziennie w obu kierunkach i nadstawiam uszu starając się podsłuchać cudze rozmowy, co stanowi zarówno mój zawód, jak i pozazawodowe upodobanie. I oto wyznam, że mimo mijania mnogości rozmaitych parek nigdy, ani w tym roku, ani w latach ubiegłych, nie udało mi się podchwycić ani strzępka żadnej takiej rozmowy.

Nie żebym miał zły słuch. Wprost przeciwnie. Długoletni trening robi swoje. I nie żeby pary chodziły pełne głębokiej lub jakiejkolwiek zadumy, zachowując romantyczne milczenie. Przeciwnie: pytlują, a nawet wrzeszczą. Tyle, że mówią i wrzeszczą o niczym. Jest to bardzo tajemnicza sztuka, ale chyba każdy zna ją z własnego doświadczenia; słucha bowiem zarówno własnych rozmów jak i rozmów swoich bliźnich. Każdy wszakże zaobserwował, że bywają rozmowy, w których padło ileś tam tysięcy słów, wszystkie były artykułowane, wiązały się w poprawne z punktu widzenia logiki i gramatyki zdania, a mimo to nie można powiedzieć, o czym była mowa. Takie właśnie rozmowy tworzą ten wielki gwar ulicy Piotrkowskiej, szczególnie w porze wiosennej, w okresie wędrówek młodzieży.

Postanowiłem więc do sprawy podejść naukowo. Urządziłem błyskawiczną ankietę. Zaczepiałem takie parki i legitymując się mymi naukowymi celami uzasadniającymi wścibskość i bezczelność prosiłem o złożenie relacji: ile godzin spacerują, o czym konkretnie dziś mówili, o czym wczoraj i o czym przedwczoraj. W ten sposób uzyskałem absolutnie reprezentatywną socjologicznie ilość wypowiedzi (bo ta socjologiczna reprezentatywność zawsze leży mi na sercu). Z wypowiedzi wynikało ponad wszelką wątpliwość, że rozmawiano „tak sobie", „tak w ogóle", „tak normalnie" o „rozmaitych sprawach", że „tak ot się gadało" albo też mówiło „o normalnych rzeczach". Moja pracownia naukowa przystąpiła do rozbioru i wyodrębnienia różnic między tymi pojęciami. Na razie, w trybie roboczym podciągam je pod jeden wspólny mianownik.

Sprawa tych rozmów jest teoretycznie wielce trudna. Technika flirtowa cierpi bądź na brak wzorców pozytywnych, bądź też są one nazbyt ogólnikowo sformułowane. Wiadomy jest tylko program „na nie": jak i o czym mówić nie wypada i nie należy. Nie będę już wyliczał jak i o czym „broń Boże". Wyjaśnię tylko ogólnie, że chodzi tu o relikty romantyzmu, system drobnomieszczańskich wzruszeń, gięd zeń-wiośnień, bełkoty o nadprzyrodzonych walorach nie mytych skądinąd włosów dziewczyny i innych jej detali i temu podobnych.

Pozytywny kumplowsko-nowoczesny wzorzec powiada, że rozmowy flirtowe dzielą się na dwie kategorie: a) rzeczową (iść do kina, nie iść do kina, dali dwóję — nie dali, tata rzygnął forsę na lody, nie rzygnął) b) istotną, czyli właściwie flirtową.

Jej definicję podam nieco szerzej. A więc przykazania takiej rozmowy można by wyodrębnić następujące: 1) Mów o rzeczach normalnych, takich o jakich mówisz z kim innym i gdzie indziej, 2) Czyń to w pewien skrótowy sposób, znamionujący niedbałość i wyższość ponad sprawy pogody i chorobę tatusia, 3) Przydawaj ledwie zauważalne akcenty liryczne np. szturchnięcie partnerki albo łagodne zepchnięcie z krawężnika.

Metoda ta osobiście bardzo mi się podoba. Oczywiście, nie do przyjęcia są bowiem anachroniczne ględzenia o rzekomych komplikacjach własnej duszy i jaźni, albo o przyrodzie, nie godnej znowu nadmiernej uwagi. Ma ona jedną tylko wadę, wynikłą z punktu numer jeden. Partnerzy kociaków i partnerki partnerów kociaków z Piotrkowskiej normalnie, z kim innym i w innym miejscu też nie mają o czym mówić.

I z tego to wynika pomysł kobiet mechanicznych, syntetycznych czy jakichś tam. (Nie odróżniam cybernetyki od wielkiej chemii, a tej z kolei od barszczu z uszkami). Taka kobieta potrafiłaby prowadzić naukowo opracowany, uniwersalny i zmienny dialog flirtowy, przyrządzony przez grono najwybitniejszych literatów, filozofów i kobiet fachowców w kobiecości, co wydatnie podniosłoby kulturę współżycia płci obojga. Współżycia, które, jak wszystkim nie-sztubakom dokładnie wiadomo, polega właśnie na nieustannym, jak w teatrze, prowadzeniu dialogów.

Taka mechaniczna czy też syntetyczna kobieta wprowadziłaby do rozmów temat, problem, treść, przydając flirtowemu gwarowi ulicy Piotrkowskiej na wiosnę sensowności i celowości.

W wolnych chwilach taka kobieta mogłaby pisać felietony.

Udokumentowawszy niniejszym realne istnienie fenomenu mowy poprawnej, logicznej a nie traktującej o niczym, śpieszę podjąć jakiś temat, bowiem felietonistyka tym różni się od flirtu na Piotrkowskiej, że wymaga realizowania redakcyjnych planów i odtajkowywania problemów.

Co bystrzejszy Czytelnik mógłby wszakże zorientować się, że to co wyżej napisałem pozostaje w związku z inauguracją Dni Oświaty Książki i Prasy. Oczywiście oświaty traktowanej w sposób szeroki, ergo nie ciasny tradycjonalny i dogmatyczny. Teraz więc w telegraficznym skrócie podam pewien bardziej marginalny problem z gatunku oświatowych.

Znowu Dni, znowu kiermasz. Kilka imprez reklamowych i festynowych i kropka. A przecież...

Trwa w Polsce „oddolny pęd oświatowy". Miliony się uczą. Literatura popularno-naukowa i pokrewna bije w księgarniach beletrystykę. Jakie formy sprzyjają tej modzie, czyli jak to się mówi „wychodzą im naprzeciw" — że zostanę przy randkowej terminologii? Szkoły, kursy, publikacje i jakieś tam odczyty, plus audycje popularno-naukowe telewizji, w których pokazuje się kilkadziesiąt zdjęć kraterów na Księżycu nie różniących się od siebie bardziej niż zapałka od zapałki.

Zainteresowania, które stworzył wiek XX w związku z istnieniem właściwej mu techniki i nauki zaspokajane są (wyjąwszy tę telewizję) środkami dziewiętnastowiecznymi, nie nastawionymi ani na taką masowość odbioru, ani na dwudziestowieczną specjalizację zainteresowań.

Postulaty: pobudzanie i preferowanie społecznego ruchu oświatowego tworzącego kluby naukowo-hobbistyczne, skupiające ludzi o monozainteresowaniach. Preferowanie poprzez organizację za środki społeczne zaplecza kadrowego i technicznego. Rozmaite formy więzi: udany referat objeżdża Polskę, korespondencyjna wymiana i wypożyczalnia książek i temu podobne. Kluby pozahumanistyczne zaopatrzyć w bazę techniczną (amatorskie kluby filmu oświatowego i takie różne różności). Niech każdy się tą techniką pobawi.

Program popularno-naukowy radia i telewizji: zrobić zeń pierwszorzędny, nie zaś trzeciorzędny gatunek audycji. Pomyśleć o specjalnych transmisjach dla potrzeb określonych, nawet wąskich, grup zainteresowań.

Mam nadzieję, że znajdzie się w tym wszystkim miejsce dla naukowej działalności w dziedzinie techniki flirtowej. Jest to dziedzina, która od dawna czeka na swoich wynalazców i swoje maszyny.

BELFER

Nasza szkółka

Mowa flirtowa i á propos

Rozważania na okoliczność misterium

(Dalszy ciąg ze str. 1)

rypetli, przygód, starć. Wszystko to podlane tęsknotą za wolnością w przestrzeni, namiętną żądzą podróży, pragnieniem szerokich kontaktów ze światem czyni z Wyścigu Pokoju jedyne w swoim rodzaju widowisko. Młodzieńcza ambicja też bywa motorem zainteresowania. Mało który młody człowiek nie chciałby w tych dniach nosić dumnego nazwiska mistrza świata Taeve Schura, czy sympatycznego Belga Piet Damena. To są obowiązujące wielkości majowych dni. Bohaterowie chwili. Ale za to jakich rozmiarów!

A czy duma narodowa, tak niebezpiecznie blisko graniczącą z megalomanią, nie dodaje ostrej przyprawy owym niezwykłym nastrojom? Cóż to się działo na ulicach miast i wsi w czasie, gdy Elek Grabowski, dziecinnie mały kolarz, zyskiwał punkty dla polskiej reprezentacji jadącej w insygniach lidera, kiedy Wilczewski zdobywał laury zwycięzcy etapowego. A Królak! Toż to był niemal symbol. Jak grał wówczas patriotyzm! Pamiętam, jak na Dolnym Śląsku w małych wiejskich chałupach preparowano pośpiesznie biało-czerwone flagi. Ba, w parafii pod Strzelcami Opolskimi miejscowy ksiądz odprawił nabożeństwo na intencje zwycięstwa polskich zawodników.

To jest w przybliżeniu ilustracja terenów, przez które pędzi wyścig, a niewiele inaczej wygląda ona w dalekiej Rzeszowszczyźnie, w Białostockiem czy Szczecińskiem. Trudno to ludziom mieć za złe. Taka jest psychologia odbioru wielkich widowisk sportowych, pokazywanych za pomocą współczesnych środków masowej transmisji.

NOWOCZESNE CIRCENSES

Ów „szał" na punkcie Wyścigu nie ma zresztą czysto lokalnego, polskiego charakteru. Podobnie dzieje się na całym świecie. Niedawno zmarły Fausto Copii, Campionissimo Półwyspu Apenińskiego zażywał sławy, wobec której wszystko pozostawało w cieniu. Papież podpierał swój autorytet, udzielając specjalnej audiencji temu kolarzowi, gdy wygrał on największy wyścig zawodowców — Tour de France. Papież sprezentował Copiemu specjalny pierścień. Ten wyłom w protokole watykańskim nie był zapewne wyrazem osobistych zainteresowań papieża, a manewrem propagandowym, ale jakże znakomicie wyzyskanym.

100 lat z górą liczy sobie tradycja wręczania przez króla pucharu zwycięskiej drużynie piłkarskiej w Anglii. Kiedy Brazylijczycy zdobyli mistrzostwo świata, w muzeum pamiątek narodowych tego kraju przybyły nowe, oryginalne eksponaty — 11 par złotych odlewów stóp członków zwycięskiej reprezentacji, a w kilku miastach wybuchły prawdziwe orgie entuzjazmu, które spowodowały... szkody na łączną sumę blisko miliona dolarów.

Jest coś w tym wszystkim, co każe spojrzeć uważnym okiem na sport. Ze swej klasycznej formy misterium religijnego stał się on w nowoczesnych czasach potężnym czynnikiem wychowa-

NASZ WYŚCIG

Oto już nasz grafik wyobraźnia sobie zawodników Wyścigu Pokoju na trasie Praga — Warszawa — Berlin w czasie trwania Dni Oświaty, Książki i Prasy. W dniu 2 maja rowerowy dosiedli także i bohaterowie popularnych książek i sztuk teatralnych. Rysownik nasz przedstawił dwanaście znanych z literatury postaci, które reprezentują dziewięć ekip kolarskich. Zadaniem Czytelników będzie odgadnięcie imion zawodników i tytułów książek, z których wyszli oni, aby przybyć na start Wyścigu. (Jeśli bohaterowie znani są nie pod własnymi imionami, lecz pod obiegową nazwą, wystarczy podać tę nazwę).

Dla ułatwienia podajemy, że postacie na rowerach reprezentują następujące kraje: Polskę, Związek Radziecki, Czechosłowację, Niemcy, Szwajcarię (reprezentanta tego państwa redakcja pozwoliła sobie zaprosić na własną rękę na NASZ WYŚCIG), Węgry, Francję (Francuzów jest aż trzech: dlaczego?) Anglię i Norwegię. Dwaj panowie, przypatrujący się kolarzom z chodnika, aczkolwiek nie biorą udziału w Wyścigu, mogą służyć naszym Czytelnikom cenną wskazówką na temat genealogii literackiej jednej z postaci.

Rozwiązania — po wpisaniu ich do załączonego kuponu — nadsyłać należy do dnia zakończenia Dni Oświaty, Książki i Prasy, to jest do 15 maja br. Między Czytelnikami, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, zostaną rozlosowane nagrody książkowe.

KUPON

Imię i nazwisko .....

Adres .....

	Imię lub określenie postaci	Tytuł książki
Polska		
Norwegia		
Czechosłowacja		
ZSRR		
Niemcy		
Szwajcaria		
Francja		
Anglia		
Węgry		

Odpowiedzi zgodne z regulaminem konkursu, można nadsyłać również na oddzielnych kartkach.

nia fizycznego młodzieży. Lekarze odkryli jego dobroczynne właściwości profilaktyczne. Na początku XIX wieku Szwed Per Henrik Ling założył słynny po dziś Instytut Gimnastyki i w parę lat później jego rodacy doszli do przekonania, iż każda nowa tego typu placówka, to jeden szpital w kraju mniej.

Ta nowa era sportu trwa, lecz przybyły jej nowe akcenty. Sport stał się również nowoczesnymi Circenses, masowym widowiskiem o przedziwnych właściwościach narkotycznych. W mgnieniu oka powstały na całym świecie olbrzymie stadiony, hale, pałace sportowe z widowniami mieszczącymi dziesiątki tysięcy miejsc. Zrodziła się nowa gałąź businessu. Na sporcie zaczęto zarabiać. Sport stał się instrumentem polityki.

My dokładamy. Dotacje na kulturę fizyczną idą w setki milionów złotych. Łoży państwo, płacą organizacje masowe, rady zakładowe, rady robotnicze. Od kilku lat czynne jest przedsiębiorstwo Totalizator Sportowy, z którego wcale nie bagatelne dochody idą na inwestycje sportowe. Wszystko to są kwoty poważne, choć niejednokrotnie mieliśmy okazję przekonać się, iż o wiele jeszcze nie wystarczające.

DYSPROPORCJA

Pragniemy szeroko rozwinąć sport we wszystkich jego ramach i postaciach. Jak się zdaje, najlepiej udało się to nam w dziedzinie widowiskowej. Kto wie nawet, czy kierownictwo polskiej kultury fizycznej nie obrało takiego kierunku działania z pełną świadomością. To, co określa się jako wyczyn w sporcie, nie jest tylko jego krzykliwą fasadą. Z pewnością odpowiednio kierowany i wykorzystywany sport wyczynowy ze swymi atrakcyjnymi imprezami może i powinien stać się magnetycznie działającym środkiem propagandowym, popularyzatorskim. Każda impreza powinna ściągać na stadiony, do systematycznych ćwiczeń przynajmniej pewien choćby procent ludzi nią zainteresowanych. Poza tym z pewnością w świecie liczą się tylko wybitne osiągnięcia, medale i mistrzowskie tytuły.

Można i należy usprawiedliwiać aspiracje w tym względzie. Jednakże dziś bez pudła można stwierdzić, iż powstała rażąca dysproporcja między tą widowiskową częścią kultury fizycznej a jej rzeczywistą powszechnością, dającą się mierzyć wyłącznie ilością ćwiczących a nie liczbami płacących za oglądanie zawodów. Właściciel Madison Square Garden w Nowym Jorku w swym corocznym raporcie wyka-

(Dokończenie na str. 6).

JERZY ŁAŃCUT

TROPICIELE- LUDZIE UPARCI

Nie jeździli na prerię. Nie ubierają się w sombrera i nie noszą obcisłych spodni ani olbrzymich coltów. Ich praca nie ma nic wspólnego z czarnoksięstwem, czy działalnością Sherlocka Holmesa. Ubrani w białe kitle stosują promienie podczerwone, izotopy promieniotwórcze, liczniki Geigera i Müllera, analizę spektralną. Posługują się najnowszymi urządzeniami techniczno-naukowymi.

Co robią ci dyplomowani lekarze, chemicy, biolodzy, psycholodzy, inżynierowie wszystkich niemalże specjalności, prawnicy, rusznikarze, fotograficy? T r o p i ą...

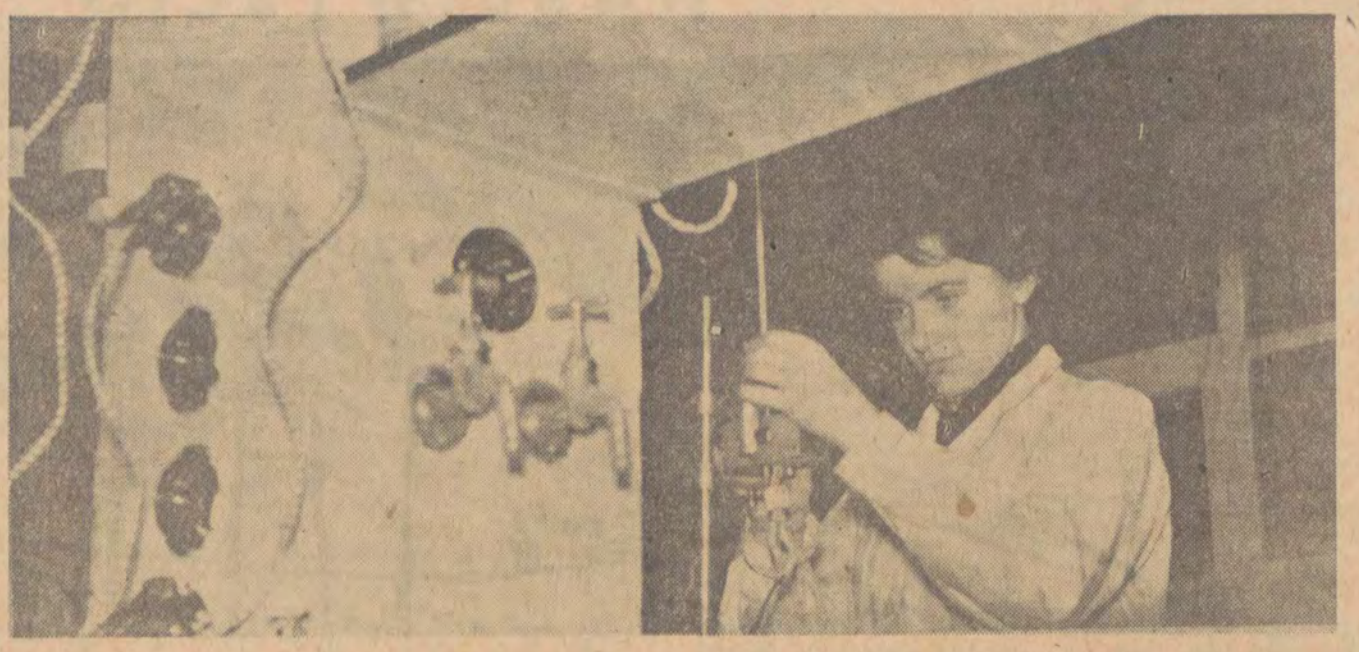

Skupienie i uwaga — to nieodłączne atrybuty przy pracach pomiarowych w pracowni metalograficznej

BALZAC NIE BUJAŁ

Podobno termin „kryminalistyka" w odniesieniu do wiedzy o śledztwie użyty został po raz pierwszy przez Górskiego w książce — „Czarna księga" którą wydano po polsku we Wrocławiu 110 lat temu. Niektórzy zaś przypisują tę zasługę Grossowi, uważanemu na Zachodzie za ojca kryminalistyki.

Mniejsza o ścisłość. Faktem niezaprzeczalnym jest, że współczesna kryminalistyka zrodziła się w XIX w. Najpierw w Anglii — w r. 1805 powstała „Bow Street Runners", potem we Francji słynna „Brigade de Sierete". A równolegle z nimi rozwijała się kryminologia. W tych czasach zdarzyło się nawet, że francuska „Brigade" kierował... wielokrotny kryminalista Vidocg. Tak, tak — Balzac tworząc słynną postać Vautrina nie sięgał wcale do fantazji. Swojego bohatera w Komedii Ludzkiej stworzył na podstawie autentycznego wzorca... Tyle „genesis".

60 KOZIKÓW

...W lesie znaleziono zwłoki zamordowanej kobiety. Morderca nakrył je mchem, gałęziami i liśćmi. Przy zamordowanej znaleziono jedynie obciętą z obu stron gałązkę. Jedyny dowód rzeczowy. Sekcja zwłok wykazała, że zamordowana była w ciąży. Aresztowano więc jej narzeczonego oraz innego chłopca, który z nią — jak to się mówi — chodził. Obaj jednakże gwałtownie zaprzeczyli zarzucanemu im morderstwu. Przy aresztowanych „zakwestionowano" scyzoryki. Obcięta gałązka i dwa scyzoryki znalazły się w rękach ludzi w białych kitlach. Ci uznali że żadnym z tych kozików nie obcinano gałązki.

Ponieważ u narzeczonego znaleziono podczas rewizji nóż ze śladami krwi, drugiego odejrzanego zwolniono z aresztu. Narzeczonemu zaś, który nadal wypierał się jakiejkolwiek winy, zarzucano dokonanie morderstwa. Szykował się już akt oskarżenia...

Ale specjaliści w białych kitlach uznali, że nóż ze śladami krwi nie zostawił przy próbnych cięciach charakterystycznych cech, odkrytych na gałązce. Nie ograniczyli się jedynie do tego autorytatywnego stwierdzenia. Są dociekliwi i uparci. Zażądali, by przesłano im... wszystkie kozioki, jakie posiadali mieszkańcy wsi, w której popełniono zbrodnię.

Nadesłano 60 sztuk. Kozik, będący własnością starszego, poważnego gospodarza pozostawiał ślady idealnie pokrywające się ze śladami znalezionymi na obciętych końcach gałązki. Miejscowi milicjanci — nie bardzo przekonani do naukowych wyników ekspertyzy — z ociąganiem przeprowadzili rewizję w mieszkaniu powszechnie szanowanego gospodarza. A jednak — właśnie u tego gospodarza znaleziono szereg przedmiotów, należących do zamordowanej. Zwiększyła się ilość dowodów rzeczowych — gospodarz przyznał się do zabójstwa.

Narzeczonego zwolniono z więzienia. Oczekujący go proces poszlakowy zmienił się w proces przeciwko właściwemu przestępcy, któremu udowodniono zbrodniczy czyn.

* * *

...Zastrzelono człowieka. Jedynym dowodem rzeczowym był pocisk. Rozpoczęła się żmudna, wielotygodniowa praca. Badano pod mikroskopem i porównywano pozostałe na nim ślady ze śladami na pociskach już zewidencjonowanych. Dokonano ponad stu porównań. Wreszcie stwierdzono, że cechy te odpowiadają cechom broni, o której zgubieniu — równo *przed dziesięcioma laty* zawiadomił organa milicji jej ówczesny posiadacz. Zaczęto śledzić środowisko w którym przebywał pierwotny posiadacz broni. Trzeba było przebadać i prześledzić *dziesięcioletnie dzieje jego i każdego z ówczesnych jego znajomych.* Przeprowadzono rewizje w dziesiątkach mieszkań. W jednym znaleziono broń, na której odkryto spiłowany numer fabryczny i naniesiony inny.

Sprawę wzięli w swoje ręce fachowcy w białych kitlach. Przeprowadzono szereg operacji metalograficznych. Dalsze badania ustaliły, że właśnie z tej broni wystrzelono pocisk, który zabił człowieka.

Zabójca powędrował do więzienia.

* * *

Przytoczyliśmy dwa przykłady z tzw. ekspertyz mniej skomplikowanych, wykonywanych przez pracowników Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Wystarczy chyba, by zdać sobie sprawę z cierpliwości, żmudnej pracy naukowej, którą wykonują ci ludzie. Oni to właśnie — używając języka prawniczego — badają dowody r. zowe.

Ale zanim doszliśmy w Polsce do tego, że w walce z przestępstwami dysponujemy tego rodzaju placówką naukową — minęło sporo czasu.

Pierwsze laboratorium kryminalistyczne powstało w naszym kraju w roku 1926. Nie należało ono do dobrze wyposażonych. Po przerwie wojennej, utworzono początkowo sekcję naukowo-techniczną przy organach MO, która w 1953 roku przerodziła się w Zakład Techniczny, a dopiero w 1955 roku zorganizowano Zakład Kryminalistyki. Z maleńkiej komórki na stryszku Zakład przeniósł się niedawno do wielkiego gmachu o przestronnych salach, laboratoriach i pracowniach. Jest dziś wielką instytucją badawczo-naukową nie ustępującą wcale pod względem wyposażenia i wyników pracy podobnym instytucjom zagranicznym w krajach mających o wiele starsze tradycje w dziedzinie kryminologii.

Mikroskop ze specjalnym ekranem pozwala zbadać i ustalić do kogo należą skrawki włókna, kawałki włosów, znalezione na miejscu przestępstwa

Wśród wielu działów Zakładu — imponujące wrażenie czynią registratury działu daktyloskopii, skupiające ponad milion kart.

I tu mała dygresja w... przeszłość. Chociaż tajemnice linii papilarnych znane były 4 000 lat temu w Babilonii i Asyrii, a również Chińczycy zamiast podpisów odciskali palce na dokumentach — to dopiero w 1850 roku policja w Indiach posłużyła się nimi dla swoich celów.

Dziś daktyloskopia — to olbrzymia gałąź wiedzy. Identyfikacja linii papilarnych, zarówno tych widocznych gołym okiem jak i niewidocznych, pochodzących nieraz sprzed kilku miesięcy — nie sprawia żadnych trudności. Tu wyniki są od razu trafne. Wśród dwu i pół miliarda ludzi żyjących na Ziemi niepodobieństwem jest, aby dwa odciski różnych palców były jednakowe.

BEZ SZANS

Minęły czasy niezwykłych detektywów. Prymitywne formy walki z przestępczością ustąpiły naukowym metodom. Nauki ścisłe coraz bardziej ułatwiają wykrywanie przestępstw. A rozwój chemii, fizyki, nauk biologicznych i technicznych znakomicie tym czynnościom pomaga.

Z roku na rok wzrasta procent wykrywalności przestępstw kryminalnych.

Jest w tym duża zasługa ludzi z Zakładu Kryminalistyki, którzy wykonują obecnie ponad 1000 ekspertyz miesięcznie. A trzeba dodać, że nierzadko przy jednej ekspertyzie pracuje cały sztab fachowców. Ich głos jest niezwykle istotny.

Naukowcy z Zakładu Kryminalistyki mają wiele osiągnięć. Niestety, rozmiary tego reportażu ograniczają możliwości relacji o wszystkim. Wspomnę tylko, że potrafią — i to szybko — wyjaśnić że na przykład kłos pszenicy znaleziony w mieszkaniu zamordowanej tancerki rósł przed miesiącem wśród szumiących łanów Rzeszowszczyzny. A taki właśnie dowód rzeczowy — niejednokrotnie pozwala dać właściwą odpowiedź na pytanie: kto zabił?

Na zawiłe problemy w sprawach kryminologii — dają odpowiedź *ludzie uparci* — naukowcy i specjaliści Zakładu Kryminalistyki.

Dlatego też — z chwilą gdy najnowocześniejsze zdobycze nauki i techniki sprzymierzyły się z walką z przestępczością — złodzieje, kanciarze, zbrodniarze, oszuści i rozmaite „niebieskie ptaki" *pozostali bez szans!*

I to jest chyba ten najbardziej optymistyczny akcent reportażu.

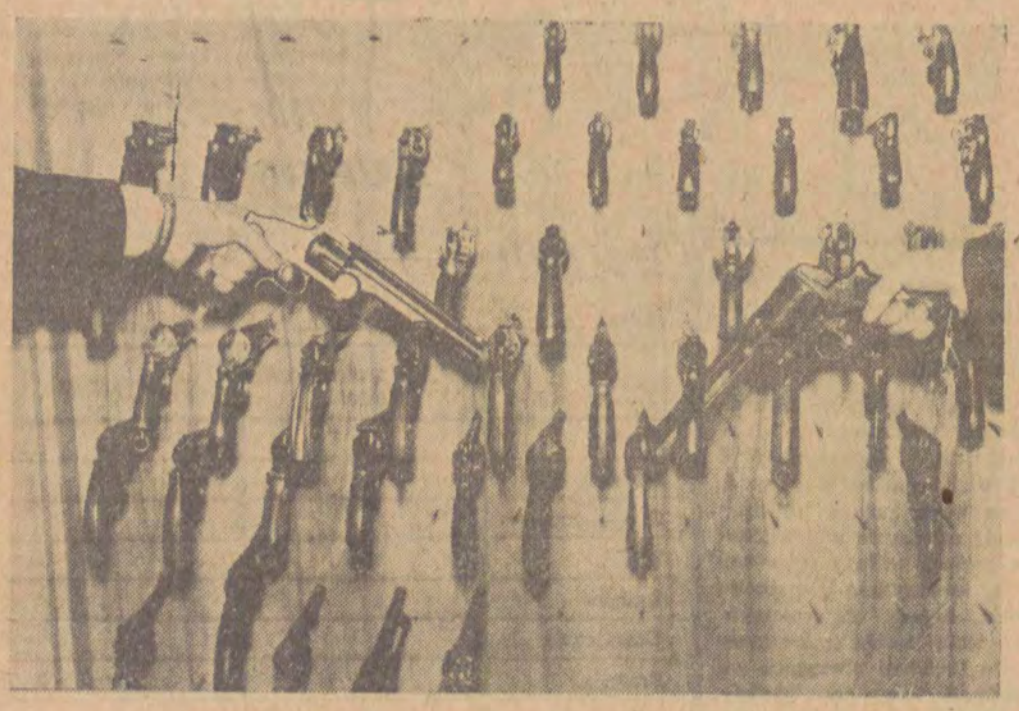

Każdy z kilkuset pistoletów czy rewolwerów pochodzących ze wszystkich niemal w świecie fabryk broni ma w Zakładzie Kryminalistyki własną metryczkę, w której zawarte są oprócz pełnego rodowodu dokładne dane taktyczno-techniczne

...i wtedy usiedli mi na ogonie...

...nagle Włosi dali szprycę. Rany boskie, co się działo...

...cały wachlarz złamał się jak zapałka. Belgowie zaczynali rozróbkę...

Ogon szpryca, wachlarz... Cóż to wszystko znaczy? Laik będzie szukał wyjaśnień w słownikach Karłowicza lub może nawet Lindego. Laik — ale nie wytrawny znawca kolarstwa i języka mistrzów szos. Ci rządzą się szczególnymi prawami. Stworzyli imprezę nie mającą odpowiednika w świecie, dostosowali do niej także oryginalne słownictwo.

Śpieszymy z pomocą wszystkim, którzy błądzą na manowcach kolarskiego ignoranctwa. Pragniemy objaśnić co celniejsze „fachowe" wyrażenia kolarskie akredytowane w polskiej prasie sportowej i tak dalece zadomowione, że sprawiają wrażenie nieomal antycznego pochodzenia.

OGON „NA KÓŁKU"

Zacznijmy od „ogona". W fachowym języku kolarzy nazwa ta oznacza grupkę kolarzy (lub pojedynnczego zawodnika), za którym jak cień jedzie rywal. Chowając się za jego plecy, unika walki, wykorzystuje aktywność swych przeciwników, rezerwując siły na końcową rozgrywkę. Dokładnie to samo oznacza określenie *„jazda na kółku"*. Uff, mdło się robi od tych określeń. Ale wyobraźcie sobie jaka „nagła krew" zalewa tych, którzy muszą prowadzić wyścig i w żaden sposób nie mogą się pozbyć ogona — owych „darmozjadów", korzystających z cudzego wysiłku. Najtrudniejsze w szosowym kolarstwie jest właśnie prowadzenie, zmuszające do dyktowania szybkości, tempa jazdy i przebiegu walki.

„Oberwanie ogona" — to właśnie ucieczka przed bumelantami szosy.

„PELETON"

Nawet koryfeusze dziennikarstwa sportowego uznali za nowotwór językowy francuskie określenie *„peleton"*. Oznacza ono po prostu pluton. Można mówić co się chce, lecz kolarze na szosie w żadnej chwili nie przypominają takiej formacji, która usprawiedliwiałaby obejmowanie ich nomenklaturą wojskową. Słowo *„peleton"* powtarza się w każdej relacji z ostatnich kilometrów każdego etapu z denerwującym natrectwem. Sam Edward Strzelecki, naczelny redaktor „Przeglądu Sportowego" zazwyczaj czuły na piękno polskiego języka, w stu wierszach swojego komentarza trzy razy wymienia określenie ugrupowania kolarzy słowem *„peleton"*. I tak dzieje się z tą tajemniczą szprycą, ogonem, wachlarzykiem...

„WACHLARZYK"

„Wachlarzykiem" nazywa się grupę zawodników jadących całą szerokością szosy, uformowaną w kształcie wachlarza. Prowadzący taki oddział bierze na siebie cały ciężar walki z wiatrem. Wszyscy pozostali skrzętnie chowają się za jego plecami. Przejechawszy kilkaset metrów, przodownik takiej grupy zjeżdża na koniec „wachlarza", oddając prowadzenie najbliższemu sąsiadowi. W tym względzie panuje między zawodnikami absolutna solidarność i bez względu na przynależność zespołową poddają się oni rygorom współpracy w pokonywaniu przeciwnego wiatru.

W odpowiednim momencie *„wachlarz"* może się złamać, jeżeli kilku kolarzy zechce nagle przejść do ataku i dokonać ucieczki. Zazwyczaj czynią to w chwili, gdy zajmują środkowe pozycje w ugrupowaniu.

„SZPRYCA"

„Szpryca" — to właśnie taki atak. Grupa jedzie, powiedzmy, z przeciętną szybkością 30 km na godzinę. Nagle jeden lub kilku zawodników przystępuje do

(Dalszy ciąg na str. 7)

TRASA PRZYSZŁOŚCI: PARYŻ—MOSKWA

WBP, PBW i dla odmiany znów PBW i WBP — oto inicjały Wyścigu Pokoju informujące, że odbywa się on na trasie łączącej trzy stolice: Warszawę, Berlin i Pragę. Relacja była dość schematyczna. Kolarze zaczynali wyścig w Warszawie i kończyli go w Pradze, lub na odwrót. Po raz pierwszy w tym roku Berlin będzie metą. Tradycyjny szlak został więc nieco zmieniony. Jest to pierwszy krok na drodze do gruntownego przeobrażenia całej imprezy.

Od dawna rozważa się możliwość rozszerzenia wyścigu także poza terytorium krajów demokracji ludowej. Być może w przewidywaniu kryzysu swojej imprezy Francuzi widzą przyszłość kolarstwa szosowego w Wyścigu Pokoju. Początkowo niechętni dla tej nazwy przystali nawet na takie imię wyścigu projektując jednak gruntowną zmianę jego tras.

5 lat temu paryski dziennik sportowy „L'Equipe" zaprojektował wyścig Paryż-Warszawa-Moskwa. Ten wniosek przez szereg wydawnictw zachodnioeuropejskich został potraktowany jako nieuchronna konsekwencja Wyścigu Pokoju, a włoski magazyn „Vie Nuove" zamieścił nawet mapę tras.

Nie jest to tak całkiem irracjonalny pomysł, jakby się wydawało. Dokonano już kilka prób zwekslowania Wyścigu Pokoju na inne drogi. Przede wszystkim przestał on być imprezą dostępną wyłącznie dla amatorów. Organizatorzy poczynili szereg koncesji na rzecz zjednania sobie zachodnich federacji kolarskich, zezwalając im do ekip narodowych włączenia także tzw. niezależnych zawodników, co w naszym języku oznacza półzawodowców. Flirt między organizatorami Wyścigu Pokoju a zagranicznymi matadorami kolarstwa trwa nieprzerwanie. Autorzy Wyścigu Pokoju obstają co prawda nieustępliwie przy obronie tradycyjnego charakteru tej imprezy, lecz nie wzbraniają się przed rozbudowaniem jej do ogólnoeuropejskich rozmiarów.

Pierwszą próbą w tym kierunku był rozegrany w 1955 r. wyścig o szumnej nazwie Tour d'Europe. Swym zasięgiem obejmował on Jugosławię, Włochy, Francję, NRF i Belgię. „L' Equipe" promotor tej imprezy, dołożyła do niej ponad 4 miliony franków i wcale tego nie żałowała. Uznano, że był to pierwszy krok na drodze do zainteresowania krajów Wschodu pomysłem rozbudowy Wyścigu. Warunki podyktowane następnie przez organizatorów były nie do przyjęcia. Francuzi chcieli rozpoczynać wyścig w Warszawie, prowadzić go przez Budapeszt, Wiedeń i Zurich a kończyć w Strassburgu. Dyskusje w kuluarach UCI — Międzynarodowej Federacji Kolarskiej nie wygasły. Kolarscy eksperci nie rozstają się z ideą przedłużenia trasy Wyścigu Pokoju do Moskwy i na takich warunkach skłonni byliby metę lub start wyznaczyć w Paryżu.

Niezwykle trudno jest przesądzać te kwestie, lecz wydaje się, że przyszłość należy do śmiałych twórców nowej koncepcji. Kto wie, czy zanim Wyścig Pokoju osiągnie swoje dwudziestolecie, jego trasa nie będzie biegła wzdłuż całego europejskiego kontynentu. Cóż znaczy przedłużenie jej o 2 tysiące kilometrów, skoro taki Tour de France liczy sobie prawie 5 tysięcy.

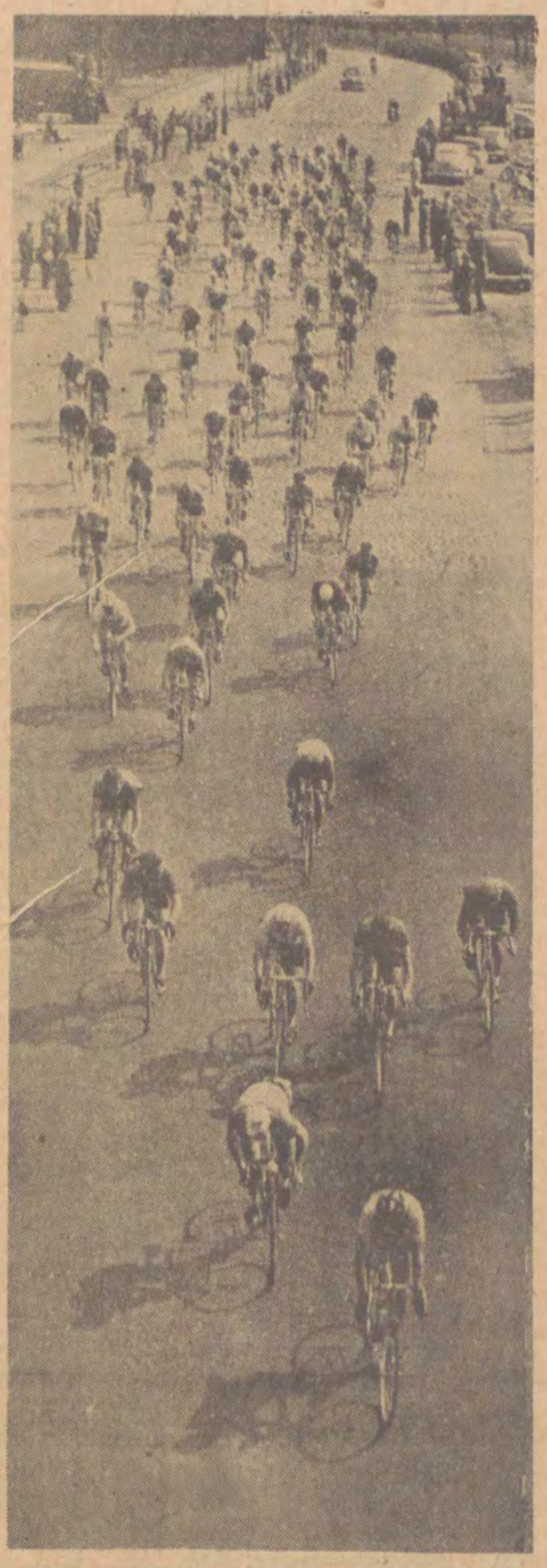

SZKOŁA ASÓW

Taeve Schur jest ponoć łodzianinem. Tak głosi niesprawdzona plotka. Jedno, co na pewno wiemy o tym znakomitym kolarzu, to to, że jest on dwukrotnym mistrzem amatorskim świata i że swój kolarski „uniwersytet" odbył w Wyścigach Pokoju.

Najjaskrawsze objawy ludzkiej popularności bladły wobec tych faktów, jakie obserwowano na etapach Wyścigu w NRD. Taeve przyjeżdżał do mety na dalekich pozycjach, ale witano go jak triumfatora. Do tej chwili pasjonaci kolarscy naszego zachodniego sąsiada zdołali wydać trzy książki poświęcone Schurowi (autor — Klimanschevsky). Napisano jedną operetkę, w której Taeve jest głównym bohaterem i... kilkaset wierszy. Poniektóre były drukowane w najpopularniejszym tygodniku sportowym D.S Echo.

W jakimś stopniu sława Schura jest usprawiedliwiona, bez względu na to, czy jest rzeczywiście dzieckiem Łodzi, czy nie. To fantastycznie uzdolniony kolarz. Ale nie on jeden zrobił karierę w Wyścigu Pokoju. Zachodni menażerowie traktują naszą imprezę jak rodzaj trampoliny. Puszczają na nią zawodników „podejrzanych"

As atutowy naszej drużyny Fornalczyk w cywilu

• uzdolnienia kolarskie. Nie muszą nawet wygrywać, aby zaskarbić sobie uznanie. Wystarczy, jeżeli dobrze się spiszą choćby na kilku etapach.

Dino Bruni, niezapomniany gladioatorre italiani z 1956 r. przejechał zaledwie 5 etapów. Wygrał jednak dwa. Wystarczyło. Bezzwłocznie otrzymał ofertę turyńskiej stajni wyścigowej kolarzy. Bez wahania ją przyjął. Zainkasował około 50.000 dolarów. W ubiegłym roku wygrał trzy etapy w Giro d'Italia i był 9 w łącznej klasyfikacji tego wyścigu. Niesłychanie wysoka lokata.

Piet Damen, zwycięzca sprzed dwu lat, jeszcze nie zdążył zmyć polskiego kurzu, gdy do Pragi nadeszła depesza proponująca mu przejście do obozu zawodowców. W przeliczeniu na brzęczącą monetę oznaczało to nie mniej niż 400 tysięcy franków. Z biednego pomocnika piekarza, po dwu tygodniach jazdy na trasie Warszawa — Berlin — Praga Damen stał się człowiekiem zamożnym.

Prawie wszyscy zwycięzcy Wyścigu Pokoju robili błyskawiczną karierę. Zrobiło ją także wielu kolarzy, zajmujących dalsze miejsca. Włoch Cestari, tak dobrze znany łodzianom, jest dziś zawodnikiem nr 1 włoskich zawodowców młodszej generacji. Belg Proust został mistrzem świata. Francuz Hofman wygrał wyścig o mistrzostwo krajów śródziemnomorskich. Wszyscy oni zdobywali kolarski staż na trasie Wyścigu Pokoju.

Z małej, lokalnego zaledwie znaczenia imprezy w r. 1948, Wyścig Pokoju stał się kolarską odmianą egzaminu dojrzałości. Produkuje najwyższej klasy asów światowego kolarstwa.

BYZNES - CYRK SPORT?

Nie mniej niż 25 milionów franków kosztuje Francuzów każdy Tour de France, pierwszy i najstarszy na świecie wieloetapowy wyścig kolarski. Bajońska suma. Wpływy z kart wstępu na zakończenie etapów nawet w przybliżeniu nie pokrywają wydatków. A jednak organizatorzy nie dopłacają do imprezy. Jak to się dzieje?

Przede wszystkim należy usprawiedliwić tych, którzy mają sobie do wyrzucenia nadmierną admirację dla Wyścigu Pokoju. Blednie ono wobec entuzjazmu, jaki wywołuje Tour de France. Na przestrzeni ponad 4 tys. kilometrów trasy wyścigu wyczekują kolarzy niezliczone tłumy obserwatorów. Przed ich oczyma rozwija się nie tylko fascynująca walka sportowa. W gruncie rzeczy schodzi ona na dalszy plan wobec tej oszałamiającej feerii reklamowej, jaką stanowi cała „oprawa" wyścigu. A więc samochody wiozą krzykliwe wezwania do picia kawy Faema, zaopatrywania się w niezawodne pioruńochrony marki Fajons. Barwne transparenty nawołują Francuzów do picia Coca-Coli, a spikerzy drą się w nieboglosy, zachwalając materiały pędne Shella.

Żadna witryna najbogatszego sklepu i żaden światowej sławy jarmark nie wytrzymuje porównania z reklamą, jaką stanowi Tour de France dla wszelakiego rodzaju produktów przemysłu francuskiego. Oczywiście ta reklama jest opłacana grubymi setkami tysięcy franków, wpłacanymi do kas organizatorów. Z tego pokrywają oni koszty wyścigu i z tego czerpią zyski.

Tak więc buisness odgrywa w sporcie na Zachodzie olbrzymią rolę. Kolarz ubiera koszulkę z krzykliwym napisem „Helyet". To jest marka największej na kontynencie fabryki rowerów. Na spodn-

(Dokończenie na str. 7)

Rozważania

(Dokończenie ze str. 3)

zuje, ile osób odwiedziło tę ogromną halę podczas meczów bokserskich, występów rewii lodowych, spotkań koszykówki itd. Jemu to wystarcza za powód do dumy. Wydaje się, że pod względem frekwencji na imprezach Polska nie należy do średniaków w świecie. Znakomicie poprawia naszą statystykę, zwłaszcza Wyścig Pokoju. Lecz nie takie dane są naszym celem. W każdym razie być nie powinny.

Oficjalne dane, choć dalekie od precyzji, wykazują w Polsce pół miliona ćwiczących. Znowu bez pudła można z tej liczby śmiało ująć co najmniej 100 tys. Autorzy sprawozdań zwykli traktować za czynnie uprawiających sport wszystkich absolutnie członków klubów. Nawet takich, którzy ostatni raz biegali po boisku przed 25 laty, a gimnastykę znają tylko z porannych ćwiczeń, prowadzonych przez mgr Hofmana.

Wybudowaliśmy dwa „stutysięczniki" — Stadion Dziesięciolecia w Warszawie i śląski gigant w Chorzowie. Poza tym mamy w kraju świeżo wykończonych kilka boisk o widowni grubo ponad 35 tys. miejsc. Nie można zaprzeczyć — dla widzów uczyniono wiele. Ale dla kultury fizycznej niestety grubo za mało.

Z gabinetów lekarskich płyną w najwyższym stopniu alarmujące meldunki o stanie zdrowotnym naszej młodzieży. Wady postawy eliminują znaczny odsetek kandydatów do służby wojskowej. Istniał przy Instytucie Medycyny Pracy w Łodzi, prowadzony z entuzjazmem przez dra Kazimierza Markiewicza Instytut Młodzieży Robotniczej. Wyniki jego prac badawczych były co najmniej smutne, jeżeli nie przygnębiające. Bez wyjątku wszyscy fachowcy tej dziedziny stwierdzali konieczność zaaplikowania młodzieży intensywnych ćwiczeń sportowych. Niestety, z minimalnymi tylko skutkami. Stan wychowania fizycznego w szkołach również i musi wzbudzić niepokój. W sumie obraz jest wielce niepocieszający.

Te refleksje kłócą się jakoś bardzo z podniosłym, a w każdym razie z podniecającym nastrojem dni majowych, tak bezceremonialnie zagarniętych dla emocji sportowych. Ale o to właśnie chodzi. Poza wszystkimi przyjemnymi rzeczami Wyścig niesie również pewne niebezpieczeństwo. Przesłania prawdziwy obraz stanu naszego sportu.

Nie przynosi nikomu ujmy omdlewanie na widok zwycięstwa polskich reprezentantów, jednakże nie na trasie Warszawa — Berlin — Praga toczy się główna walka o zwycięstwo polskiego sportu. Chodzi głównie o objęcie oddziaływaniem kultury fizycznej najszerszych rzesz młodzieży, nie mówiąc o odpowiednio szerokim marginesie dla dorosłych. I świadomość tego niech mąci pogodę ducha, radość z wizyty wielu świetnych zawodników, z rozmiarów Wyścigu, triumfu jego idei i ewentualnych naszych narodowych w nim sukcesów.

„Odgłosy" też mają sobie niejedno do wyrzucenia z powodu pozostawiania tak długo ważnych problemów wychowania fizycznego i sportu na uboczu. Nie wynikało to milczenie z chęci uniknięcia trudnego i nie dość popularnego tematu. Chcemu zaniedbanie odrobić.

WIESŁAW KACZMAREK

JAN JANISZEWSKI

ROZŚPIEWANA

Dobroń leży mniej więcej na połowie drogi między Łaskiem a Pabianicami.

Do Łasku ciąży ludność rolnicza w sprawach urzędowych, sądowych, Pabianice zaś zatrudniają wielu dobroniaków w swoim przemyśle i kształcą absolwentów miejscowej szkoły podstawowej w liceach, technikach i zasadniczych szkołach zawodowych..

W 1903 roku uzyskała wieś połączenie kolejowe z Kaliszem i Łodzią, a w okresie piętnastolecia Polski Ludowej przekształciła drewniane zabudowania w coraz estetyczniejsze budynki z czerwonej cegły, tu i ówdzie tynkowane. Nad dachami domów nierzadko wystrzela antena telewizyjna, a odbiornik radiowy jest nieodłącznym przyjacielem starszych i młodzieży.

Dobroń to typowa ulicówka, licząca około tysiąca mieszkańców. Dobroń ma ładną szkołę, kościół, gospodę GS-u, dobrze wyposażoną OSP (istniejącą już 63 lata), znaną w całym powiecie hodowlę kur.

Ale fenomenem Dobronia jest muzyka, taniec i śpiew.

W 1881 roku bowiem powstał już chór, a w roku 1895 dobrońska kapela — szkolona przez ojca profesora Prosnaka, Juliusza — przygrywała w sukmanach strajkującym włókniarzom pabianickim. W początkach XX wieku powstaje również dęta orkiestra strażacka.

W okresie międzywojennym orkiestrę i kapelę zasilają często dojrzali muzycy po przeszkoleniu w orkiestrach pułkowych w czasie służby wojskowej.

W piętnastoleciu następuje dalsze muzykowanie w formie zorganizowanej i luźnej oraz powiększenie się „asortymentu".

Powstaje więc zespół dziecięcy, a ostatnio taneczny. Nic więc dziwnego, że w tej chwili „montuje się" zespół pieśni i tańca.

* * *

Ambasador zespołu przy Prezydium PRN — dr Wiesław Kabza — kierownik Stacji Pogotowia Powiatowego, jest przedstawicielem rodziny zamieszkałej od kilkunastu pokoleń w Dobroniu.

Grał w orkiestrze dobrońskiej jako chłopiec, potem jako student Akademii Medycznej w Łodzi i teraz nierzadko, chociaż pochłonięty jest czasobójczą pracą lekarza, zasiada do pulpitu w sąsiedztwie 67-letniego ojca-klarnecisty, i 7 innych Kabzów-braci, kuzynów i rodziny, jak sam mówi, „siódmej wody po śledziu".

Ojciec doktora wspomina starszych sąsiadów, którzy, choć „niegramotni", znali tajniki pięciolinii.

Zespół dobrońsk odwiedziły już wozy radiowe, telewizyjne, a na brak gości szczególnie nie może się uskarżać 77-letnia Anna Łubisz, prawdziwa skarbnica starych pieśni i przyśpiewek. Popularna babcia z Dobronia występowała w kilku imprezach z zespołem dobrońskim, przyśpiewując jeszcze żwawym głosem: „Nieszczęśliwy ganeczek".

Najbardziej pocieszającym objawem rozśpiewanego Dobronia to pasja dla pięciolinii u wszystkich generacji.

W orkiestrze i kapeli, obok sędziwych gospodarzy, biorą czynny udział najmłodsi — uczniowie ze szkół podstawowych.

Przywiązanie do rodzinnej wsi jest również fenomenem nie tak często spotykanym w dobie telewizji i apetytów na „Wołgę". Studenci i studentki, ciążą bardziej do swych zespołów niż do studenckich kabaretów, a włókniarze, kolejarze lepiej się czują w ściankach małej salki niż w luksusowych świetlicach zespołów łódzkich czy też pabianickich.

Nie przeszkadza to oczywiście zmianom formy i sposobu bycia. Dziewczęta uczestniczące w próbach baletu ubrane są z wielkim smakiem w kolorowe jeansy, sycylijki, chłopcy zaś w treningowe dresy...

A więc już się rzekło — powstaje tu zespół pieśni i tańca. Nie ma jednak róż bez kolców — dobroniacy głowią się nad strojem męskim, który niestety nie zachował się w reliktach kuferków najstarszych gospodarzy.

Sądzę, że to wdzięczne i miłe pole dla łódzkich etnografów!

Zdjęcia: HENRYK KOZAKOW

Krakowiak w próbie na dwa miesiące przed występem

DYSKUSJA O MŁODZIEŻY

WŁADYSŁAWA HEMPEREK
JULIUSZ JANCZUR

GARŚĆ CZARNYCH

Dobrze się stało, że Redakcja „Odgłosów" rozpoczęła dyskusję na temat młodzieży, źle iż poniektórzy dyskutanci próbują lekceważyć problemy ale, na szczęście, tego rodzaju głosy są odosobnione.

Korzystając z materiałów Komendy Miasta MO w Łodzi chcielibyśmy udowodnić oponentom, że problem jest o wiele bardziej poważny, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka.

Co do nas nie zajmujemy się młodzieżą w całości, nie szufladkujemy i nie wnioskujemy o jej stanie ideowym. Jest młodzież bardzo dobra, jest bardzo zła i ogromna masa młodzieży nijakiej, jak to stwierdził jeden z dyskutantów. Zajmujemy się młodzieżą bardzo złą.

POLEMIKA

Andrzej Mazur w artykule „Rozkład jazdy pociągu widmo" uważa, że „problematyka przestępczości młodzieży jest stara, znana i zbadana dokładnie. Również u nas w Polsce".

Problematyka przestępczości młodzieży jest stara, owszem, ale niestety brak aktualnych i porządnych badań ogranicza akcję profilaktyczną do działalności typu strażackiego. Naukowe badania socjologiczne nie nadążają za zmieniającymi się formami działalności przestępczej młodzieży, stąd trudności w wypracowywaniu odpowiedniego przeciwdziałania. Instytuty naukowe uważają ten problem za druzgocący i tak też wyglądają badania. W ten sposób zostaliśmy zaskoczeni faktem, że np. w Łodzi ponad 50 proc. wszystkich przestępstw dokonanych zostało przez młodzież do 25 roku życia a z tego 51 proc. przez nieletnich do lat 17. Czy Milicja została zaskoczona tym faktem? Praktycznie rzecz biorąc — nie, gdyż przestępstwa zostały wykryte a sprawcy ujawnieni. Ale przecież Milicja jest organem represyjnym a nie Instytutem do badania problematyki młodzieżowej.

Pisze dalej Andrzej Mazur: „podstawową bazą rekrutacyjną młodocianych przestępców jest młodzież nie objęta szkołą" Fakty zaprzeczają temu. W ciągu trzech kwartałów ub. roku z 700 nieletnich przestępców — 500 to uczniowie. Dziesięciu nie miało ukończonych 7 lat, trzystu dwudziestu pięciu — 13 lat, trzysu osiemdziesięciu — 17 lat. W 550 wypadkach byli to nieletni posiadający oboje rodziców, w 300 wypadkach pracowało jedno z rodziców (teoretycznie więc — drugie miało możność wychowywania dziecka).

CZWÓRKOWE KOLUMNY

Symptomatyczne dla naszych czasów staje się obniżanie roczników popadających w kolizję z prawem. Czy dużo jest tej młodzieży? I tak i nie. Zależy jak się patrzy. Gdyby wszystkich młodocianych przestępców ustawić **czwórkami** na Piotrkowskiej, powstałaby kolumna sięgająca od Placu Wolności do Grand Hotelu. A przecież ta młodzież nie żyje w izolacji, spotykamy ją we wszystkich publicznych miejscach, w kawiarniach, parkach, na deptaku i przed kinami, chodzi do szkoły, jeździ tramwajami.

W Łodzi jest ponad 100.000 młodzieży w wieku szkolnym, więc na każdą czterdziestoosobową klasę statystycznie rzecz biorąc — przypada ponad 2 młodocianych przestępców. Pomińmy to „ponad", gdyż część z nich nie chodzi do szkoły. Dwóch przestępców na klasę. A nauczyciele mówią że jeden „trudny" potrafił złamać dyscyplinę w całej klasie.

MORALNIE ZAGROŻENI

Trzeba jeszcze doliczyć tzw. moralnie zagrożonych. A więc dzieci nałogowych alkoholików, cierpiące w domu głód, wystraszone, bite i obdarte; dzieci prostytutek, znające życie w jego najczarniejszej postaci, młodzież szukająca mocnych wrażeń w ucieczkach z domu i w końcu popełniająca przestępstwa dla zdobycia środków do życia; wagarowicze-recydywiści spędzający czas w parkach i podmiejskich lasach; młodzież nie uczęszczająca do szkoły mimo obowiązku szkolnego; dzieci z melin paserskich i pijackich.

W ciągu ostatnich trzech lat ujawniono ponad 1500 takich dzieci, kierując odpowiednie wnioski do władz i organizacji społecznych: Rady Narodowe, Sądy dla Nieletnich (pozbawienie władzy rodzicielskiej), TPD, Liga Kobiet, Komitety Rodzicielskie, Blokowi Opiekunowie Społeczni. Oczywiście nie jest to pełna liczba tego rodzaju dzieci, ale jedynie najbardziej drastyczne wypadki, ujawnione przez MO.

W ciągu 1959 roku Pogotowie Milicyjne interweniowało w 4000 awantur domowych, gdzie przecież są dzieci.

W ciągu ostatnich dwóch lat zanotowano około 1000 ucieczek z domów rodzicielskich i zakładów wychowawczych. A w Izbie Wytrzeźwień przebywało w ciągu ostatniego roku 150 chłopców, którzy jeszcze nie ukończyli 17 lat. Co drugi dzień przez cały rok bywał w Izbie Wytrzeźwień jeden nieletni.

Nałogowych alkoholików mamy w Łodzi około 10.000 z tego 3000 skierowanych na przymusowe leczenie. Większość z nich ma po kilkoro dzieci.

JEST PROBLEM CZY GO NIE MA?

W ten sposób nasza kolumna czwórkowa rozrosła się od Placu Wolności do ulicy Głównej. Weźmy pod uwagę, aby zachować odpowiednie proporcje, że taka sama kolumna składająca się z reszty młodzieży w wieku szkolnym sięgać będzie do Ozorkowa — i w ten sposób znajdziemy odpowiedź na pytanie — jest problem, czy go nie ma?

Gdy człowiek zachoruje na tyfus plamisty natychmiast izolujemy go. Proporcjonalnie do ilości mieszkańców miasta fakt niezauważalny. A jednak izolujemy.

A jak jest z młodocianymi przestępcami, których oddziaływanie na resztę młodzieży jest bezsprzeczne?

Czym dysponujemy, aby ich izolować, kierować na drogę resocjalizacji i przywracać społeczeństwu jako pełnowartościowe jednostki?

TEORIA...

Rolę tę powinny spełniać schroniska, zakłady wychowawcze i zakłady poprawcze. Powinny, ale tak nie jest. Dlaczego?

Młodocianego przestępcę umieszcza się w Schronisku, gdzie przez okres 3 miesięcy poddaje się go obserwacji. Po tym okresie następuje rozprawa w Sądzie dla Nieletnich. Sąd dysponuje materiałem obserwacyjnym i decyduje w jaki sposób i przy użyciu jakich środków można skierować młodocianego na drogę poprawy. Sąd dysponuje takimi środkami:

a) dozór odpowiedzialny rodziców
b) kurator
c) zakład wychowawczy
d) zakład poprawczy.

Dozór rodziców — czyli oddanie nieletniego w dawne środowisko, pod opiekę tych rodziców, którym już raz nie udał się proces wychowawczy.

Oddanie pod opiekę kuratora — to już też pewnego rodzaju gest bezsilności. Instytucja kuratorów przeżyła się, nie spełnia swego zadania. Kurator jest to człowiek obcy, wizytujący od czasu do czasu swego podopiecznego, którego najczęściej nie może nigdy zastać w domu. Są to wysokiej rangi społecznicy, oddający swój wolny czas i siły dla idei sprowadzania na drogę poprawy czasem wrogich sobie młodocianych przestępców. W epoce upadku wszelkich autorytetów, — i kurator stanowić go nie może. Brak wyników nie jest ich winą — są to współcześni Syzyfowie. W 59 roku na

WIEŚ...

Anna Łubisz na spotkaniu z zespołem przekazuje wnuczce Ali krok mazurka sprzed sześćdziesięciu laty

Kapela na próbie wraz z trzema barwnie ubranymi chórzystkami przy dowcipnej przyśpiewce

W pełnej krasie stroju dobrońskiego najpopularniejsza osoba — Anna Łubisz

1100 spraw do zakładów poprawczych skierowano 60 nieletnich, do zakładów wychowawczych — 100 nieletnich. Reszta — pod dozór kuratorów i rodziców.

Część przestępczej młodzieży wraca na dobrą drogę, ale reszta traktuje takie wyroki jako wyraz bezsilności prawa i nie opuszcza swych krętych ścieżek. Ten stosunek prawa nie wyraża, niestety, humanizmu w odniesieniu do młodocianych, ale naprawdę bezsilność i bezradność.

...I PRAKTYKA

Tymczasem praktyka życia codziennego odbiega od szablonu — w schroniskach brak miejsc, więc młodociany przestępca oczekuje w domu na rozprawę sądową. W domu, czyli w tym samym środowisku, gdzie dokonał przestępstwa. Po rozprawie umieszczany jest (w najbardziej drastycznych wypadkach) w zakładzie wychowawczym czy poprawczym, ale w przeważającej większości wyrok Sądu brzmi — dozór kuratora.

Młodociany zdaje sobie sprawę z bezkarności swego działania. Milicja może go trzymać tylko przez 48 godzin, w schronisku nie ma miejsc, sąd także nie może skierować do zakładów, gdyż tam także brak miejsc. W ten sposób, po kilkunastu dniach czy tygodniach mamy nowe przestępstwo i widmowy kontredans ze sprawiedliwością i prawem trwa nadal.

GŁOWĄ O MUR

Aby nie być gołosłownym pozwolę sobie przytoczyć fragmenty uchwały Rady Pedagogicznej zakładu wychowawczego z terenu Łodzi. Wstrząsający dokument. Pokazuje bowiem, jak wychowawcy pracowali w niezwykle ciężkich warunkach przez długie lata, pracowali z samozaparciem godnym najwyższych pochwał. Ale teraz przestali już wierzyć we własne siły i sens swej pracy, więc występują z wnioskiem o zlikwidowanie zakładu. Dlaczego?

...Brak opieki nocnej dla 90 chłopców, brak dyżurki, wewnętrznych ubikacji, rozmieszczenie wychowanków w kilkunastu pokojach, na kilku piętrach...

...klasy są zimne, duszne i ciasne, wyjść z nich można tylko na nieopalane korytarze, ściany i podłogi są zagrzybione...

...brak w pobliżu parku, boiska sportowego, możliwości ruchu i kontaktu z przyrodą. W obrębie posesji znajdują się dwa małe podwóreczka, szereg zakamarków z wyjściami na trzy ulice, co kusi do pokryjomych wycieczek do miasta...

...brak dobrej wody, urządzeń kanalizacyjnych, brak możliwości urządzania kąpieli. Wodę przynoszą z ulicznego hydrantu (150 m) sami wychowankowie...

...brak świetlicy, czytelni, pokoju do indywidualnych rozmów z wychowankami, pokoju dla prac społecznych samorządu...

...na terenie zakładu 15 izb zajętych jest przez prywatnych lokatorów, których od 9 lat nie można usunąć..."

A nowy zakład wychowawczy dla Łodzi powstanie dopiero w roku 1965.

MOŻE JEDNAK SARNIA NÓŻKA?

Zajmijmy się jeszcze przez chwilę problemem młodzieży moralnie zagrożonej. Chodzi o to, aby w porę zahamować proces staczania się po równi pochyłej, w porę złapać za rękę, czy nawet dać klapsa **przed popełnieniem przestępstwa.**

Są takie możliwości, ale niewykorzystane do końca. W chwili obecnej cały ciężar rozwiązywania tego problemu pozostawiono Milicji. Niech się martwi w jaki

UWAG

sposób ograniczyć do minimum proces wyrastania nowych przestępców. A tymczasem drobne zarządzenie porządkowe, odpowiednie do tego przestrzegane może dużo pomóc. Historyczny stał się już problem stemplowania legitymacji szkolnych literkami R i P. Te literki miałyby pokazać, kiedy uczy się młodzież — rano, czy po południu. Milicjant legitymujący w parku grupę chłopców, nie miałby kłopotów w stwierdzeniu czy są na wagarach.

A lotne dyżury nauczycieli w kinach po godzinie 20? Są to sprawy drobne, na pewno nie warte tysięcy słów, których użyto w dyskusji na ten temat. Sprawy drobne, dokuczliwe — i w dalszym ciągu nierozwiązywalne. A przecież od tego trzeba zacząć, aby przygotować grunt do rozwiązania wszystkich poważnych problemów, z których pod Numerem Pierwszym trzeba zanotować alkoholizm.

Chodzi o to, aby każda instytucja, zajmująca się wychowywaniem młodzieży wykonała swoje zadania, bez oglądania się na innych. W przeciwnym wypadku nie najlepsza dziś sytuacja zmieni się jutro na gorszą.

I dlatego dobrze, że rozwija się dyskusja, że wysuwane są postulaty ze wszystkich środowisk i organizacji społecznych — jest to znak, że „Odgłosy" są prawdziwymi odgłosami naszego miasta.

WŁAŚCIWE PROPORCJE

I na zakończenie chcielibyśmy się usprawiedliwić. Jeśli powyższe uwagi wydadzą Ci się Miły Czytelniku, zbyt czarne i pesymistyczne — to pamiętaj o tych dwóch czwórkowych kolumnach. Jedna do Ozorkowa, a druga do połowy Piotrkowskiej. I zrób, co w Twojej mocy, aby ta druga zniknęła z Piotrkowskiej na zawsze.

(Dalszy ciąg ze str. 5)

szturmu. Pochylają się nad kierownicami i pędzą z szybkością 50 km na godzinę. Starają się oderwać od partnerów, zostawić ich w tyle.

Nim dojdzie do takiej akcji, następuje szereg ataków nękających obliczonych na zmylenie czujności rywali. Mistrzami tego rodzaju ofensywy byli dotąd Włosi. Od nich nauczyli się tego również Rosjanie. „*Szpryce*" dokonywane są najczęściej już w pobliżu mety, o ile odległość 30 km od stadionu kończącego etap można uznać za „pobliże".

„ZŁAPAĆ GUMĘ"

Wiele przedmiotów można łapać, w najmniejszym jednak stopniu nadaje się do takich celów guma. A jednak ileż to razy spotykamy się z określeniem „*on złapał gumę*". Oczywiście chodzi tu o defekt dętki, tego największego wroga kolarzy. Zmiana ogumienia koła pochłania co najmniej dwie minuty, w ciągu których partnerzy oddalają się o około półtora kilometra. Pechowiec, któremu zdarzy się taki przypadek ma nikłe szanse dopędzenia towarzyszy walki.

„WOZIWODY"

„*Woziwoda*" — tak nazywa się kolarza, zaopatrującego partnerów w wodę. Do takich funkcji najczęściej wyznacza się zawodnika słabszego, nie grożącego rywalom możliwością zwycięstwa na etapie. Do jego obowiązków należy organizowanie lotnych pryszniców, napełnianie bidonów itp.

W Wyścigu Pokoju woziwody nie odważyli się spłatać figla, ale w Tour de Pologne taki wypadek się zdarzył. Otóż spragnieni wody kolarze wysłali forpoczty dla zorganizowania prysznicu. Wybrano najmłodszych i najsłabszych kolarzy. Główna grupa celowo zmniejszyła tempo jazdy, aby wysłannikom dać czas na wykonanie zadania. Tymczasem oni nie zatrzymali się nawet na sekundę, a skorzystawszy ze swej misji, popędzili na metę. Wygrali etap, lecz tak narazili się starszym kompanionom, iż zostali wykluczeni z towarzystwa i nie współpracowano z nimi na trasie całego wyścigu. Lojalność jest naczelną zasadą każdego szosowego kolarza.

BYZNES-CYRK-SPORT?

(Dalszy ciąg ze str. 5)

kach ma wyszytą nazwę duńskiej firmy rowerowej „Frejus". Czapeczka reklamuje telewizory „Philipsa". Pantofelki agitują za najlepszymi w świecie apertiffami „Cinzano". A z plakatów informujących o godzinie przejazdu kolarzy roześmiany Anquitill, aktualna gwiazda francuskiego kolarstwa, zapewnia, że jest tak znakomitym kolarzem, ponieważ codziennie odświeża się wodą kwiatową niezastąpionej produkcji braci Leroux.

Któż w lipcowych dniach wyścigu dokoła Francji nie chciałby dorównać sławie Anquctilla. Reklamowane przez niego towary cieszą się więc niezawodnym popytem. Interes opłaca się i producentom i kolarzom zachwalającym ich towar.

Co 150 Francuz jest posiadaczem samochodu. Jeden rower przypada na 300 obywateli V Republiki. A jednak rower jest nieporównanie potężniejszym środkiem reklamy francuskiego przemysłu niż samochód. Albowiem rowerem jeździ sam mitrz Bobet, człowiek, który ex do popularności konkuruje z mężami stanu XX wieku.

Z chwilą, gdy właściciele wielkich zakładów produkcyjnych zrezygnują z reklamowania swych towarów w Tour de France, impreza będzie narażona na fiasko. Zginie. Ale nikt nie zawaha się zaryzykować najwyższej nawet kwoty dla zareklamowania swojego artykułu w tak niezwykle sugestywny i przekonywający sposób, jak to czynią uczestnicy Touru. I już dziś nie bardzo wiadomo, czy wyścig dokoła Francji, prawowity ojciec wszystkich podobnych, imprez, nie wyłączając Wyścigu Pokoju, odbywa się dla wyłonienia najlepszego kolarza świata, czy może tylko dla udowodnienia, jak wspaniała jest kawa Faema, lub smary do samochodów Shella.

Reklama stała się także partnerem Wyścigu Pokoju. W ubiegłym roku widzieliśmy parę zdezelowanych Starów wiozących na trasie zawodów zabrudzone transparenty zachwalające... wyborne gumy „Myszka". Jak zwykle, poczucie humoru podyktowało organizatorom obwożenie tych reklam także po NRD i Czechosłowacji. Zdumieni widzowie zastanawiali się, do czego też mogą służyć polskie „Myszki" i jaki interes mamy w gnębieniu ciężarówek dla iluzorycznej propagandy tych dość ostatecznie kiepskich gumek do ścierania.

Polski odpowiednik reklamy z Tour de France wypadł więcej niż mizernie. Na szczęście, w przeciwieństwie do francuskiego wyścigu, nasz nie musi stać się zmotoryzowaną budą jarmarczną. Jest dostatecznie piękny i atrakcyjny także bez ciężarówek reklamujących niedostępne zwykłym śmiertelnikom piwo żywieckie i gumki do ścierania firmy „Myszka".

Testament

Pragnę tak umrzeć, by moje mieszkanie
Nie pozostało domem w żadnym domu.
Niech śpią dziewczęta w przestrzeni nie mojej
I w cudzym piecu niech rozpalą ogień.

Moimi były książki obcych ludzi,
Brałem na siebie nieznajomy smutek:
Kamień — gdy milczy, niebo — kiedy więdnie.
Niech mnie nie będzie, kiedy już nie wrócę,
Niech już nie wrócę, kiedy mnie nie będzie.

BERNARD SZTAJNERT

Śmierć aktora

Aktor sam jeden umarł zobaczony
Ogromnym okiem, nieskończoną twarzą
I jak gasnący reflektor czerwony
Zaszło dla niego słońce z trotuaru.

Dla innych konał, gwiazdę wzywał z ziemi
Czas zatrzymywał podniesioną ręką,
Dla siebie poznał natrętność kamieni,
Uderzył wargą i słowo mu pękło.

Gitara

Nie ma gitary — jej ucho zamknięte,
Nie ma gitary — zamknąłem jej oczy,
Nie ma gitary — gitara jest ziemią,
Milczy powoli wokół własnej osi.

Grajka nie było — są oddzielne palce,
Los nas bez dłoni pchał w dół i do góry.
W stronie bez struny gitarzysta Wacek
(Umilkł na płuca) lubił kalambury.

Ja jedząc rzodkiew bez dźwięku soczystą,
Gwiżdżąc do siebie nastawiałem ucha.
Jestem milczenia upartym solistą,
W wackowym niebie gitara mnie słucha.

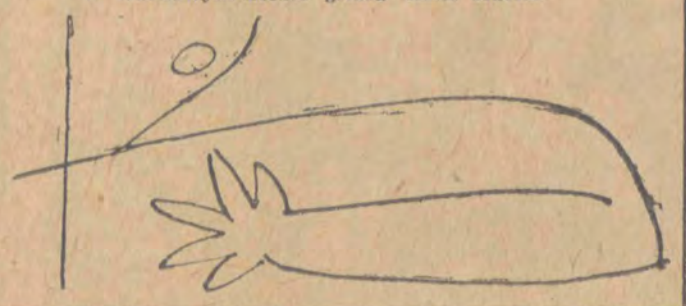

Paryż

Paryż jest kopcem termitów
Termity zimne i białe
Termity na ulicy

Paryż jest płytą nagraną
Z piosenką o Paryżu
Pod igłą żelaznej wieży

Kiedy milkną ulice
Termity wchodzą na płytę
I ochładzają bakelit wilgotnym ciałem

I ja tam byłem w Paryżu
Pod igłą żelaznej wieży
Termit z gorącym ciałem

CZŁOWIEK ZMIENIA SKÓRĘ

Czy znacie film „Gosposia do wszystkiego"? Pamiętacie więc zapewne perypetie pisarza, który — by ubarwić swą powieść pikantnymi realiami — przyjął posadę gosposi w małym amerykańskim miasteczku. Znacie?... To posłuchajcie historii jeszcze dziwniejszej. Tylko..., ostrzegam, nie będzie to rzecz wesoła.

Dalekobieżny autobus zatrzymał się na przystanku. Według rozkładu jazdy postój miał trwać przeszło godzinę. Biali podróżni wysiedli, by rozprostować kości. Z grupy czarnoskórych pasażerów stłoczonych na tylnym pomoście jeden skierował się również ku wyjściu.

— Ty dokąd? — zapytał krótko kierowca.

— Chciałbym się obmyć.

— Jeszcze czego? Może myślisz, że będę się bawił zbieraniem po drodze wszystkich brudnych Negrów? Masz bilet do Hattinesburga i tam wysiądziesz. Jazda na miejsce! No już!

W Hattinesburgu banda wyrostków powitała przybyłych zgniłymi pomidorami. Czarny, który zadarł w drodze z obsługą autobusu, chciał protestować.

— Czyś spadł z księżyca? — złapał go za rękę stary, siwiejący Murzyn. — Chcesz żeby cię zlinczowali? Maszeruj prędko i nie oglądaj się za siebie.

— Są dwie kardynalne zasady — tłumaczył dalej starzec, trzęsąc się jeszcze ze strachu. — Jeśli ci życie miłe, kiedy cię prowokują, idź prosto i nie zatrzymuj się ani na chwilę. To jedno. Drugie: nigdy, pamiętaj nigdy nie patrz na białą kobietę. Możesz się narazić nawet oglądając fotos z białą aktorką. Ale, skąd ty się wziąłeś, synu, że tego nie wiesz?

Jego rozmówca, rosły, korpulentny mężczyzna o hebanowej skórze, wzruszył wymijająco ramionami. Skąd przybył? Tego, przecież, powiedzieć nie mógł. A gdyby nawet powiedział, wzięto by go za pomyleńca. Któż by mu uwierzył, że jeszcze przed dziesięcioma dniami był czystej krwi Białym, ojcem trojga białych dzieci, szanowanym powszechnie obywatelem pierwszej klasy, mieszkańcem ekskluzywnej dzielnicy willowej w Mansfield, Texas.

John Howard Griffin, popularny powieściopisarz amerykański, miał życie, co się zowie, bujne. Po ukończeniu medycyny, specjalizując się w psychiatrii, pojechał do Francji, by przestudiować metody leczenia chorób psychicznych przy pomocy muzyki. Dłuższy pobyt u benedyktynów w Solesmes dał mu korzyść dodatkową: stał się poważnym autorytetem w dziedzinie chorału gregoriańskiego.

Uzupełniał wiedzę na Sorbonie paryskiej, gdy zaskoczyła go wojna. Zaciągnął się ochotniczo do armii francuskiej, walczył w Ruchu Oporu, później po różnych przejściach, już w mundurze amerykańskim brał udział w kampanii na Pacyfiku. Był ranny, a nawet czasowo zaniewidział. Wzrok odzyskał dopiero po dziesięciu latach.

W najbardziej szaleńczą awanturę rzucił się jednak w wieku statecznej dojrzałości. Mieszkając w Stanach Południowych stykał się stale z bolesnym problemem murzyńskim. Sprawa ta, jej aspekty ekonomiczne, a szczególnie psychologiczne, zawsze go żywo pasjonowała: z goryczą stwierdzał, że nikt nie umiał jej dotąd nie tylko rozwiązać, ale nawet właściwie naświetlić. Powód był jasny, rozumował. Trzeba być Czarnym, by zrozumieć „co przeżywa Murzyn w Ameryce", trzeba być Białym, by móc to bezstronnie opisać.

I oto, czterdziestoletni pisarz wpada na pomysł fantastyczny — postanawia zmienić skórę. Nie w tym trudnego dla współczesnej wiedzy medycznej. Trochę silnie działających i szkodliwych dla zdrowia leków, trochę środków kosmetycznych, parę zabiegów dermatologicznych, naświetlania lampą kwarcową — wkrótce Griffin przekształca się w rasowego Murzyna ze wszystkimi cechami negroidalnymi. Blond włosy ścina krótko przy skórze, jak Murzyni pragnący pozbyć się znienawidzonych kędzierzawych czupryn. Zbyt jasne, piwne oczy przysłania ciemnymi okularami. Gotowe.

— Pierwsze spojrzenie w lustro — wyznaje — zaszokowało mnie. Zobaczyłem człowieka zupełnie obcego, innej rasy...

Ale jeszcze bardziej szokujące było pierwsze zetknięcie ze światem.

Griffin zamierzał osiedlić się w murzyńskiej dzielnicy Nowego Orleanu. Do wskazanego mu hotelu „tylko dla Czarnych" jechał autobusem. Na ławce obok niego było jedno wolne miejsce. Nikt nie siadał, choć w przejściu stało kilka osób. Zapominając o swej metamorfozie Griffin uprzejmym gestem wskazał miejsce jakiejś starszej białej pasażerce.

— Nie zapomnę jej spojrzenia. Wyrażało mieszaninę nienawiści, pogardy i wstrętu. „Jakże się to plugastwo rozzuchwala", powiedziała głośno.

Nie wystarczyła zmiana skóry, trzeba było zmienić mentalność. Trzeba było nauczyć się chodzić i siadać, jeść i pić, spać i czuwać, kłaniać się i odpowiadać jak Murzyn. Nie wolno było spojrzeć na białą kobietę, nie wolno było, pod karą śmierci, zapominać się, osłabić napiętej uwagi. Najmniejsze roztargnienie groziło niebezpieczeństwem.

Do innych stron życia przystosował się Griffin dość łatwo. Celowo nie zaopatrzywszy się w gotówkę, by nie ułatwiać sobie zadania, nauczył się zarabiać na chleb czyszczeniem obuwia — zawód zarezerwowany dla Czarnych — i doszedł w tym do niejakiej wprawy. Nauczył się również, jak nowi pobratymcy z regionu żyć na ulicy, spać, jeść, gotować na maszynce spirytusowej strawę — ryż lub brukiew z odrobiną mięsa z szopów.

W Nowym Orleanie i niektórych innych miastach Południa nie wolno Murzynom wchodzić do restauracji. Czeka za to kara więzienia. Ale właściciele barów, w zasadzie niezastrzeżonych, mają także swoje sposoby szykanowania Czarnych. Nie podaje im się na przykład nigdy posiłku do stołu. Mogą jadać tylko na stojąco.

— Chodzi o to — pisał Griffin później — by pozbawić Murzynów poczucia godności osobistej. Jest to najgorsza z dyskryminacji, próba moralnego zamordowania człowieka.

Pisarz przyzwyczaił się unikać Białych i nie reagować na zniewagi, lecz — po którymś z rzędu upokorzeniu — głodny i pozbawiony dachu nad głową załamał się psychicznie. Uratowała go solidarność upośledzonej rasy, koleżeńska pomoc zaprzyjaźnionej rodziny nędzarzy. Ludzie ci zabrali go do swego domu, prymitywnej lepianki na skraju bagien nadbrzeżnych, nakarmili własnym obiadem z rozgotowanej fasoli bez tłuszczu. Na deser znalazła się nawet kostka czekoladowa, którą podzielono najuczciwiej na dziewięć cząstek: po kawałeczku dla każdego z sześciorga dzieci, dla obojga rodziców i dla gościa.

— Prawość tych ludzi, ich zdumiewająca uczynność, ich stosunek do dzieci i warunki w jakich muszą egzystować — opowiada pisarz — to było nie do zniesienia. Mamrocząc jakieś słowa przeprosin, uciekłem. Czułem, że dłużej nie wytrzymam. Wchodziłem w życie Czarnych jako zimnokrwisty obserwator, uchodziłem jak zdrajca.

Eksperyment trwał cześć tygodni, dalsze sześć przeżył Griffin zabarykadowany w swoim pokoju. Nie mógł się przecież pokazać w Mansfield w skórze Murzyna, nie chciał prowokować skandalu. Jednakże jego nieprawdopodobne przygody stały się w Ameryce głośne — skandal wisi w powietrzu. Mimo wszystko Griffin żywi nadzieję, że książka, którą pisze, książka dokument i oskarżenie, będzie czymś mocniejszym niż skandal.

Opracował K. J.

Griffin jako Czarny

Władysław Rymkiewicz

ROMANS KRÓLEWSKI

Powieść historyczna

XVIII.

Podkomorzy trzasnął szpadą.

Rylski wypiął pierś wystawiając się na sztych. — Judasz Jezusa sprzedał. Takoż i mnie, który cię, rannego, w obozie pod Beresteczkiem pielęgnowałem, kłuj waszmość, tnij, morduj! Oj, ja wiem, waszmość jest obojętny i głuchy na głos przyjaźni! Widzisz przed sobą tylko jedno bożyszcze, które cię zaślepia — twego monarchę! Tnij zatem, kłuj, morduj! W imię Kaźkojana!

— Dosyć. Uważaj waść! — Butler ostrzegł posępnie. — Króla obrażasz.

— Waść go nie broń! — rotmistrz pochylił się, jakby chciał zajrzeć podkomorzemu w oczy. — Nie bał się romansować król jegomość z cudzą żoną — przypominał zjadliwie z jakimś zaciekłym uporem w dążeniu do pomszczenia krzywdy. — Niechże teraz ma odwagę wstawić się za nieszczęsną. Bogiem się klnę, że nie będę milczał! Do rakuskich jadę zaciągnąć się dragonów. W całym cesarstwie będzie głośno...

— Waść będzie milczał — Butler podszedł do Rylskiego, cicho i dobitnie powtórzył: — Waść będzie milczał!

Szlachcic zaniósł się pogardliwym, wyzywającym śmiechem: — Nigdy! Póki żyję! — wrzeszczał z upartym zuchwalstwem. Nagle przestał chichotać. — Był jej miłośnikiem? —, akcentem groźnej powagi, domagającej się ścisłej odpowiedzi, zadał pytanie. — Był jej kochankiem? Ale co ja? Nie mógł przecie być, cha, cha, cha, nie mógł, bo nasz król jegomość to przecie...

— Zamilkniesz, niecnoto! — Butler krzyknął głusząc słowa szlachcica.

Rylski zamaszystym ruchem ręki przekreślił powietrze. — Schowaj waszmość to żelazo. Niestraszne mi ono! Kto był pod Beresteczkiem, nie ulęknie się szpady nawet w ręce krwawego Butlera. Cha, cha, cha! Otóż to! „Krwawy Butler"!

Ostrze szpady wzniosło się w górę, na wysokość szyi rotmistrza. — Zamilkniesz, błaźnie?

Odemknęły się drzwi alkierza. — Wedle rozkazu jegomości — stangret Stryjak w czapce z podniesionymi zausznicami wszedł do izby. — Konie zaobroko... — reszta słowa uwięzła w krtani.

Rylski ze wzgardliwą obojętnością popatrzył na szpic obnażonej szpady wycelowanej w jego szyję. — Z prawdą do ludzi jak z jeżem do psa. A właśnie! Waszmość tworzy mit i chce, żebym ja w imię tego mitu zdychał. — Patrzył szyderczo w pobladłą, o zwartych w zaciekłym gniewie rysach twarz „krwawego obersztera", który cedził przez zaciśnięte zęby: — Przestaniesz, wilku? Żebyś mi nigdy... Bo inaczej... Ja ciebie zgnoję! Żebyś nie śmiał!

Spiczasty koniec szpady dotykał błękitnej aorty biegnącej ukośnie pod skórą szyi i przesuwającej się przelewnie z poruszeniami głowy.

Porucznik rozdarł oburącz kołnierzyk żupana wystawiając odsłoniętą pierś na sztych. — Kłuj waszmość! Nie zmusisz mnie do milczenia! — wrzasnął z desperackim uniesieniem. — Póki życia wołać będę na całą Rzeczpospolitą i Cesarstwo.

— Zamilcz!

— Żeby wszyscy wiedzieli — krzyczał Rylski — że król Polski to tchórz i zdrajca.

Z łoskotem upadającego ciała wsunęła się przez uchylone drzwi czyjaś kudłata głowa. — Matko Boska! — kudłacz wybiegł z krzykiem na podwórze.

ROZDZIAŁ XIV

Za szybą karety przesuwały się pałace, kościoły, kamienice. Przy biegnącej w dół ku Wiśle ulicy Zjawienie rosły jak grzyby po deszczu nowe dworki szlacheckie. Przez minione piętnaście lat panowania Władysława Czwartego (które upłynęły w niezmąconym wojnami spokoju) kraj wzbogacił się, porastał w zamożność i dostatki.

Po każdym wyjeździe do zagranicznych dworów i powrocie z cudzoziemskich krajów do stolicy Butler odkrywał Warszawę na nowo i (chociaż miał świadomość, że w czasie jego nieobecności nic się w istocie nie zmieniło, i że tylko on odnajduje we fragmentach i szczegółach architektonicznych utracony i spowszedniały w dawnym codziennym widzeniu kształt piękna) przypatrywał się miastu innym, świeżym spojrzeniem, jakby zobaczył je po raz pierwszy.

Zabłocona karoca z przyprzężonym łogoszem bez podjezdka wjechała z turkotem na dziedziniec Zamku Królewskiego. Powoził siedzący na koźle Gabryś Zapartek.

Spowiednik królowej ksiądz de Fleury wyjrzał oknem i wydał lekki okrzyk przerażenia.

Z pudła wysiadł oberszter w ciemnozielonym płaszczu. Dźwięknęła szpada o żelazny stopień karocy. Pierwsza zapowiedź niepokoju i zamętu (pomyślał ksiądz), jaki wnosił do Zamku, uregulowanego trybu pracy obu kancelarii królewskich wracający z Wiednia „krwawy Butler", siewca strachu.

— Monsieur Butler est arrive! — wystarczyło tych czterech słów, wypowiedzianych strwożonym szeptem przez księdza do para Des Noyers, żeby wypłoszyć z kancelarii królowej zasiedziałą ciszę, na straży której stały uporządkowane stosy pergaminów, zaopatrzonych w czerwone lakowe pieczęcie na jedwabnych sznurkach. (Przed dwoma tygodniami marszałek wielki koronny pan Lubomirski narobił na Zamku piekła z powodu wiadomości, że faworyt królewski zranił w Wiewiórce jego przyjaciela księcia Dominika Zasławskiego i domagał się oddalenia podkomorzego ze dworu. Zaś wczoraj uprzedzając powrót poselstwa wrócił z Krakowa stangret królewski, który uciekł ze służby u obersztera, skarżąc się, że pan Butler zabił w kłótni porucznika podkanclerzyny Hiacynta Rylskiego).

Uśmiech spełzł z okrągłej twarzy jowialnego sekretarza Marii Ludwiki, cera zrobiła się szara na podobieństwo otaczających go pergaminów. — Parfaitement! — powiedział trochę ciszej niż zwykle, nie tracąc jednak spokoju, i pobiegł w kierunku izby kopiatów zamknąć drzwi. — Szalony człowiek! Boże, strzeż nas od takich sojuszników! — Des Noyers wzniósł ręce do nieba. — Myślałem, że po tym, co zrobił, zamknie się w swoich Prenach i odczeka jakiś czas na uspokojenie się umysłów. Tymczasem, na nieszczęście, wrócił!

Rys. Tadeusz Kokieta

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Butler w ciemnozielonym zaszarganym płaszczu, zarzuconym jedną połą na ramię, w zabłoconych rajtarskich butach z cholewami do pasa zatrzymał się na środku kancelarii, ciężki, zwalisty, ogromny.

— Ah, vous voila, monsieur! — ucieszył się nieszczerze pan Des Noyers. — Ca va? On dit monsieur Radziejowski a fui'a Stokholm? Est-ce vrai? — podsunął „krwawemu obersztero wi" fotel i okrążył go z daleka posuwistym krokiem. — Asseyez-vous s'il vous plait. — Przez okrągłe oblicze Francuza przepływały na przemian sztuczne uśmiechy przesadnego zadowolenia i źle maskowane oznaki zgrozy na widok obersztera o zbójeckim wyglądzie, z potarganymi włosami opadającymi w nieładzie na ramiona i patrzącego spode łba ostrym, niecierpliwym, przenikliwym wzrokiem.

— Je crois que Madame attend avec l'impatience le rapport de mon voyage'a Vienne?

Pan Des Noyers pobiegł posuwiście przed drzwi gabinetu królowej i rozpostarł ręce. — Madame est tres occupee aujourd'hui — mężnie bronił dostępu. — Madame raczyła udzielić audiencji imć Wilhelmowi Hondiusowi, artyście malarzowi holenderskiemu, który będzie robił jej konterfekt. Na jutro zaś zostało wyznaczone posłuchanie dla słynnego uczonego krakowskiego, matematyka Brożka. Następnie wizyta posła francuskiego i pana marszałka Lubomirskiego. Sypał nazwiskami uczonych, artystów i dyplomatów.

Butler zacisnął rękę na jelcu szpady. Szczęknęło żelazo. Pan Des Noyers z obleczonym w atłas, wypiętym ofiarnie brzuszkiem stał nieustraszenie na posterunku, przygotowany na to, że „krwawy oberszter" nadzieje go na szpadę jak kurczaka na rożen. Był przy tym bardzo poważny, a nawet uroczysty i rozkładając z ubolewaniem krótkie rączki zdawał się wykazywać zrozumienie i milczące współczucie dla faworyta, który wypadł z łask. Nikt lepiej niż on, z długoletnim doświadczeniem w służbie książąt i królów, nie rozumiał, co to znaczy znaleźć się pewnego dnia przed zamkniętymi drzwiami gabinetu władcy i dowiedzieć się, że drzwi, które zawsze stały dlań otworem, zatrzasnęły się przed nim, i to właśnie tylko przed nim, na zawsze!

Machnąwszy połą ciemnozielonego płaszcza Butler obrócił się porywczo, wyszedł mocnym krokiem z kancelarii i ruszył w kierunku mieszkania króla.

Szedł przez duszne, nieprzewietrzane antykamery, sale i komnaty, w których osiadł kurz na brokatowych obiciach krzeseł i ciężkich kotarach u drzwi. W mrocznych pomieszczeniach pachniało kurzem, stęchlizną, piwniczną wilgocią i woskowymi świecami jak w kruchcie.

W antykamerze na pluszowym klęczniku przed ołtarzykiem z obrazem błogosławionego Jana z Dukli klęczał zatopiony w modlitwie ksiądz Cieciszewski.

— Służba, pater reverende! — szorstkim powitaniem wojskowym pozdrowił Butler księdza. Spowiednik królewski odwrócił powoli twarz od obrazu. Błogi wyraz mistycznej ekstazy na ascetycznym obliczu ustąpił miejsca zgrozie. Sługa boży jakby ujrzał szatana, otworzył usta i zaniemówił, i podniósł się z klęczek, i dwoma palcami zaznaczył na piersi, nikły, ledwie dostrzegalny ruch z góry na dół i w poprzek, i cofnął się z bojaźliwą przezornością o dwa kroki. Butler odchrząknął, przeczyścił gardło i usiłując złagodzić obcesowy ton powitania powiedział dobrotliwie, jak do dziecka:

— Pater reverende, ja do króla jegomości z relacją z wypełnionej misji.

Ksiądz poruszył z powątpiewaniem głową.

Butler przymrużył oczy gasząc błysk gniewu. W przerażonej minie kaznodziei, który patrzył na niego jak na wilka w owczej skórze, Butler widział odbicie własnej osoby, tak jak mogli ją widzieć inni, pan Des Noyers i ksiądz de Fleury. Nie był już, jak przed pół rokiem, pod Beresteczkiem, uosobieniem honoru, męstwa i nieugiętej stanowczości, nie był najbardziej śmiałym i zdecydowanym obrońcą tronu; był w oczach dworzan siewcą strachu, „krwawym Butlerem". — Z relacją z wypełnionej misji — starał się jednak utrzymać gniew i zniecierpliwienie na wodzy.

Ksiądz złożył ręce jak do pacierza. — Najjaśniejszy pan pokutę czyni. — Sążnista broda trzęsła się dodając powagi słowom o pokucie, która miała odstraszyć natręta. — Na gołej posadzce klęczy król jegomość. — Ksiądz jak egzorcysta wypędzający złego ducha z opętanego nim grzesznika nie spuszczał oczu z Butlera. — — Głową o ziemię bije, czołem kurz ze stopni ołtarza ściera. — Nie mógł jednak znieść ironicznego, podejrzliwego, złowrogiego, trudnego do wytrzymania wzroku obersztera i nakrył oczy powiekami, co nadało obliczu wyraz świętobliwej, franciszkańskiej pokory. — Przez dwie niedziele — ze strachu mówił coraz ciszej — będzie król słuchał mszy świętej w pozycji klęczącej...

— Czy może chcesz ksiądz przez to powiedzieć — Butler przerwał szorstko i podszedł do sługi bożego. — Czy może chcesz ksiądz przez to powiedzieć, że mam dwie niedziele czekać na audiencję?

D. c. n.

ZACZAROWANA KSIĄŻKA

Książka ta jest istotnie zaczarowana. Nie dlatego że nosi tytuł „Zaczarowany krawiec", nie dlatego nawet że na okładce znajdujemy stylizowany na Chagalla rysunek. Książka jest zaczarowana po prostu dlatego, że autorem jej jest jedyny w swoim rodzaju pisarz — Szolem Alejchem.

„Zaczarowany krawiec" to zbiór opowiadań z życia społeczności, która dawno nie istnieje, społeczności żydowskiej kresowych miasteczek dawnej Rosji.

Niewielkie ukraińsko-żydowskie miasteczka ze specyficzną, niepowtarzalną atmosferą. Małe sprawy drobnych krawców, kupców, szewców z Homla, Witebska czy Perejesławia. Książka napisana jest uroczym językiem, opromieniona dobrotliwym uśmiechem autora, który uważa, że ludzie jakkolwiek nieraz są trochę śmieszni, to jednak są z gruntu dobrzy.

Pisarstwo Szolem Alejchema to pisarstwo uśmiechnięte. Prawda, że uśmiech to czasem smutny. Ale jak napisał któryś z krytyków są to „nie tragedie z optymistycznym zakończeniem, lecz po prosu żywotny, elementarny optymizm, który uwzględnia i wchłania nawet ludzką tragiczność".

Szolem Alejchem
„Zaczarowany krawiec"
PIW cena 13 zł

KTO ZNA TAKI RZYM?

Obawiamy się, że taki Rzym znał do niedawna tylko Jerome Carcopino. Chodzi rzecz prosta o przeuroczą książkę tego autora pt. „Życie codzienne w Rzymie".

Jak już informowaliśmy właśnie ten pasjonujący i z zadziwiającą erudycją napisany esej historyczny był w Łodzi bestsellerem marca. Okazuje się, że mimo nieco słonej (45 zł) ceny „Życie codzienne w Rzymie" pozostało najpopularniejszą książką także w kwietniu.

Autor — 80-letni historyk i archeolog włoski — napisał książkę jedyną w swoim rodzaju. Książkę, w której językiem prostym i pięknym zawarł cały ogrom wiedzy o stylu życia, obyczajach mieszkańców Rzymu z czasu rozkwitu cesarstwa. Z eseju Carcopino dowiedzieć się można zarówno o stosunkach rodzinnych, niewolnikach, cyrkach jak i o rzymskiej kobiecie — jej obowiązkach, strojach, urodzie...

Kupno książki Jerome Carcopino, to chyba najlepsza rzecz, jaką można uczynić.

Jerome Carcopino
„Życie codzienne w Rzymie"
PIW, cena 45 zł

SKARBIEC ANEGDOT

„Kiedy Leopold Kronenberg wydawał swą córkę Marię za Karola hrabiego Zamojskiego ojciec oblubienicy spytał starego hrabiego:

— Ja daję mojej córce na śniadanie milion, a co hrabia dasz swemu synowi na obiad?

Na co Zamojski:

— Po takim śniadaniu obiad nie będzie im potrzebny".

Anegdotę powyższą wynotowaliśmy z wydanej przez PIW arcyciekawej książki Karoliny Beylin pt. „Jeden rok Warszawy 1875".

Ów przekrój jednego roku zamknięty został w dwanaście gawęd, z których każda ma jakąś główną oś, jakąś charakterystyczną postać lub grupę. Tak więc w styczniu — Modrzejewska, w lutym — Prus, w marcu — Deotyma itd. itd.

W sumie otrzymaliśmy sporą książkę (prawie 500 stron) na której kartach odżyły postacie warszawskich aktorów, malarzy, literatów sprzed prawie 100 lat.

Karolina Beylin
„Jeden rok Warszawy 1875"
Wyd. PIW str. 495

SENTYMENTY

Jeszcze jedna próba nakreślenia portretu młodej, współczesnej dziewczyny. Próba z której krakowska pisarka Maria Paczowska wyszła chyba zwycięsko.

„Sentymenty" Paczowskiej to naprawdę dobra, zgrabnie napisana książka o miłości. I choć konstrukcja nieco się rozsypuje, choć „wątek miłosny" stanowi odbicie dość znanego „stereotypu" („Przegląd Kulturalny") — myślimy, że książka znajdzie swoich czytelników. Zwłaszcza, że lekko ironiczny dystans autorki wobec przeżyć narratorki podnosi „Sentymenty" do rangi naprawdę dobrej prozy.

Maria Paczowska
„Sentymenty" Wydaw. Literackie cena 12 zł

WYSTAWY, WYSTAWY...

W czasie trwania Dni Oświaty, Książki i Prasy, Łódź stanie się miastem w całym tego słowa znaczeniu wystawowym. W różnych punktach miasta otwartych bowiem zostanie około 40 wystaw książkowych o najróżniejszej tematyce.

Będą to więc ekspozycje zarówno o szerokim zakresie („Wystawa współczesnej literatury polskiej", Książka zagraniczna") jak i wystawy poświęcone jednemu tylko pisarzowi („Mickiewicz", „Konopnicka").

Natomiast pracownicy XVI Rejonowej Wypożyczalni Książek postanowili zorganizować u siebie wystawę pod nazwą „Polscy pisarze debiutanci".

Pomysł oryginalny i nie wątpimy, że wystawa na Marynarskiej będzie miała duże powodzenie. Zwłaszcza wśród debiutantów.

A NA BAŁUTACH

W Bałuckim Domu Kultury rozumują bardzo racjonalnie. Dni Oświaty — Dniami Oświaty, a o budowie szkół zapominać nie można. Tak więc dochód z wielkiej imprezy estradowej zorganizowanej przez DK przeznaczono właśnie na ten cel.

To się nazywa łączyć przyjemne z pożytecznym.

DOBRE POMYSŁY

Organizatorzy Dni Oświaty, Książki i Prasy nie zapomnieli o mieszkańcach peryferii, gdzie raczej mało księgarń i bibliotek. Otóż w czasie trwania Dni krążyć będzie po Łodzi efektownie udekorowany i dobrze zaopatrzony w ostatnie nowości — bibliobus.

Mieszkańcy Józefowa Reymontowa czy Złotna przyjmą na pewno ten pomysł z zadowoleniem.

W Bibliotece im. Waryńskiego zrodził się inny dobry pomysł. A mianowicie postanowiono tam uczcić Dni Oświaty, Książki i Prasy... otwarciem nowego punktu bibliotecznego. Tak więc za parę dni Łódź wzbogaci się o nową wypożyczalnię książek.

Oby więcej takich „dobrych pomysłów".

MAŁA SCENA

„Owa „mała scena" istnieje w Teatrze Nowym. Jak wiadomo wystawiono na niej w swoim czasie (niezależnie od sztuk wystawianych na scenie normalnej) „Dom kobiet" Nałkowskiej i „Szopkę polityczną" Ryszarda Marka. Potem zapanowała trwająca do dziś cisza.

Obecnie jak się dowiadujemy zakończono już przydługo trwający remont i niebawem, bo w końcu maja (27—28) miłośnicy teatru będą mogli obejrzeć na „małej scenie" „Obronę Sokratesa" Platona w reżyserii Kazimierza Dejmka.

Cieszymy się, rzecz prosta, z jeszcze jednej sceny w naszym mieście. Dręczy nas tylko obawa czy po „Obronie Sokratesa" nie nastąpi znów okres ciszy.

CYTATY

Leon Gomolicki pisze w 16 numerze „Życia Literackiego":

— "(...) Obecnie redakcja nasza (Wydawnictwo Łódzkie) przygotowuje do druku kilka książek pokazujących życie współczesne. Do nich należą nowe powieści Minkowskiego i Kabatca, sensacyjno-obyczajowa powieść Henryka Vogiera, powieść Wacława Bilińskiego, tomy opowiadań Andrzeja Brychta Lecha Budreckiego, Tadeusza Papiera, Bernarda Sztajnerta i Jerzego Waleńczyka."

A oto co o Brychcie pisze w 16 numerze „Przeglądu Kulturalnego" Jan Błoński:

„Duża to krzywda i zdumiewająca obłuda, że nie znalazł się wydawca, który by zechciał ogłosić w książce opowiadania Brychta; pewnie dlatego, iż pisarz nie zastrzega się na każdej stronie, że nie pochwala rabunku i noża..."

I komu tu wierzyć?

Ambona satyryka

ZYGMUNT FIJAS

KAZANIE O SPORCIE

Nie znam się na sporcie. Jestem wychowankiem gimnazjum klasycznego starego typu, czyli mam za dużo zaprawy humanistycznej. Uczyłem się po łacinie przez osiem lat, po grecku pięć, trochę jeszcze zostało mi w pamięci Owidiusza, Wergilego, Katullusa, czasem szturmują do mojej mózgownicy Homer, Sofokles, a niekiedy i tacy greccy poeci, o których nasza młódź poetycka zapewne nie słyszała i pewno nie wierzy, że tacy kiedykolwiek byli przed Elliotem, i nie uważa za stosowne poznać tych przodków naszej kultury europejskiej, lecz dawszy nura w głąb rzeczywistości, fajta nóżkami i fajta nowocześnie, nowoczesność za wyłącznie własną domenę uważając i tej domenie starając się odjąć pozór nowej siwy (czytaj wypowiedź byłego łódzkiego mocarza nowoczesności Bohdana Drozdowskiego we „Współczesności").

Nie znam się przeto na sporcie, jak z powyższego wynika, i nie czytam z wypiekami na twarzy notatek informujących o czasie, w jakim studenci angielscy przebiegli podziemia Londynu, lub Ożóg („Wawel") zwyciężył Ćwiertnię („Zabrze") w nadwiślańskim biegu na przełaj. Jeśli chodzi o sport to jestem zwyczajnym starym ramolem, różniącym się od przeróżnego rodzaju jollopów-kibiców tym, czym różni się prastara rozrywka intelektualna — bilard karambolowy od nowoczesnej bitki bokserskiej na pięści.

Nie obchodzi mnie zupełnie że Stasiek Smalaga z Wrzeczypalowicz nie pojedzie do Uniejowa, żeby wrzucić piłkę do kosza, bo sobie nogę zwichnął i dlatego wszyscy uniejowiacy z radości już od dwu tygodni nie śpią. Nie obchodzi mnie, że Ciaszczaka, sztangistę, zabolą zęby.

Jestem zupełną ryfą sportową drodzy w „Odgłosach" czytelnicy.

Ryfą, mimo że wiem, o co w tym krzewieniu sportu chodzi i co ma na myśli nasz wielki krzewiciel z Krakowa drogi memu centusiowskiemu sercu Włodzimierz Reczek, gdy otwiera śluzy skarbowe, aby nasz narybek sportowy miał w czym pływać.

Że przecież chodzi tu nie tylko o rozwijanie naszej krzepy mięśniowej, lecz także o danie społeczeństwu tego, co w starożytnym Rzymie nazywano „circenses", czyli łatwą, pociągającą umysły rozrywkę. I dlatego Państwo chętnie i stale do sportu dopłaca, a tylko czasem na nim zarabia.

To wszystko rozumiem, ale nie rozumiem, dlaczego nie popieramy tego nieoficjalnego sportu, co tu i ówdzie zakwita jak wspaniały hiacynt wielkanocny, przez kilka dni bawi uszy i umysły ludzkie, i więdnie nie poparty przez naszą prasę?

W czasie świąt wielkanocnych zbudził mnie ze snu taki wybuch „kaliklorku", że spowodował małe trzęsienie ziemi w całej Łodzi. Nasi mali sportowcy zapewne do godziny drugiej w nocy nie zmrużyli oka, aby tylko uderzyć kamieniem w co najmniej pięciokilową „mojdę" i zatrząść Łodzią niczym Agadirem.

Jaki dziennikarz napisał o tej „mojdzie"? Dlaczego pogotowie sportowe ŁKS nie wysłało natychmiast swych trenerów, aby wzięli malców na swój warsztat i wysłali ich pierwszym ekspresem na Olimpiadę?... Dlaczego świat nie wie o tym wyczynie?... Czy znowu Zachód ma nas ubiec w rzucaniu kamieniem w „kali chloricum"?

A czy dziennikarze sportowi wiedzą o tym, że na krzyk „łapaj złodzieja" uformował się pewnego dnia na ulicy porządny peleton ludzi i biegnąc bezadresowo ustalił nowy rekord Polski w biegu ulicznym? Czy prasa powiedziała nam coś o tym peletonie? Podała nazwisko głównego złodzieja?

Czy nie warto by sporządzić co najmniej dziesięciokilową „mojdę", zanieść ją pod dom RSW „Prasy" i trzasnąć w nią kamieniem, aby obudzić ze snu śpiących w zgoła nienowoczesnym śnie sprawozdawców sportowych?

Jak mi w tej chwili donoszą panna Bożena Maciaszczyk z „Aleja Kościuszki" po raz szósty w tym kwartale przefarbowała swe włosy w orzechowym tonie i to na czystych gwoździach.

Czy i ten rekord pozostanie bez echa? Nie znajdzie się nikt, kto by podał dłoń młodziutkiej farbiarce? Amen.

Najostrzejsze ołówki świata

LESLIE STARKE

— Na tej fotografii jest brat Tymoteusz tam — brat Eustachy, a tutaj — ja...

Wysoki, ubiera się zawsze trochę na sposób staroświecki — na nogach nosi kalosze, w ręku — nieodłączny parasol. Nie rozstaje się z papierosem; całe palce ma zażółcone nikotyną. Jest małomówny i zazwyczaj niezbyt uprzejmy — lecz przyjaciele bynajmniej nie przypisują tego zawrotowi głowy od sukcesów. Starke pochodzi ze Szkocji — i podobno w tym leży przyczyna tej burkliwości: oszczędzanie słów...

Widać to zresztą w jego dowcipach: wszystko wyraża rysunkiem, podpis, tekst — dołącza tylko wtedy, gdy jest absolutnie niezbędny. Oto główny powód popularności tych żartów po obu stronach Atlantyku — Starke tworzy humor zrozumiały dla każdego, operuje sytuacją lapidarną, czytelną, a przecież — niebanalną.

Ma swoich ulubionych bohaterów, są nimi zakonnicy i... bokserzy...

Jest rysownikiem ogromnie pracowitym — co tydzień publikuje w największych magazynach Anglii, USA i Kanady kilkadziesiąt żartów.

Przez szereg lat mieszkał w Londynie, tuż obok Ogrodu Zoologicznego, gdzie słychać było świetnie ryk lwów i wrzaski małp. Podobno — jak sam utrzymywał — odgłosy te sprzyjały jego pracy...

(jert)

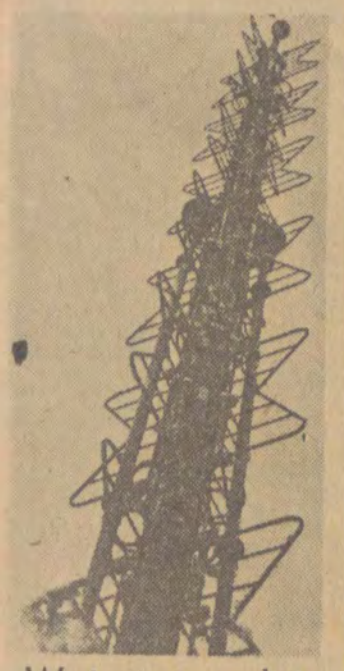

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Czwartek 28. O godz. 19.50 program z cyklu „Wszyscy jesteście sędziami" nadawany z Warszawy. Zaraz po nim — o godz. 20.40 — krótkometrażowy film produkcji NRD „Latające łodzie". O 20.50 pozycja dość tajemnicza — program rozrywkowy dla młodzieży pt. „Wesołe miasteczko". Program idzie przez pełną godzinę — na zakończenie: ostatnie wiadomości.

Piątek 29. Zaczynamy już o godz. 16.30 quizem dla dzieci i młodzieży pt. „Tajemnice przyrody". Po półtoragodzin-

nym quizie następuje przerwa. O 19.10 reportaż filmowy z Warszawy pt. „Alchemia XX wieku", dziennik telewizyjny, tele-reklama i wreszcie o 20 film fabularny produkcji francuskiej pod nieco rzewnym tytułem „Walc tęsknoty".

Sobota 30. Zaczynamy o 17.20 filmem produkcji radzieckiej przeznaczonym dla dzieci starszych. Tytuł — „Mały bohater". O 18.55 program publicystyczny z Warszawy, o 19.30 — dziennik telewizyjny, reklama, program tygodnia wreszcie o 20.15 film fabularny produkcji NRD, dozwolony już od lat 12 pt. „Rywale przy kierownicy".

Właściwie jedyną jako taką atrakcyjną pozycją sobotniego programu może w rezultacie okazać się „Plebiscyt piosenki" — audycja, którą nada Warszawa o godz. 22.10. Trochę przymało.

Wreszcie niedziela 1 maja Program zaczyna się wyjątkowo wcześnie, bo już o godzinie 9.40 transmisją manifestacji 1-majowej z Warszawy, która będzie szła do godz. 12. Po dwugodzinnej przerwie, a więc o 14 — niedzielna biesiada.

O 16.40 widowisko dla dzieci z Katowic - „Tajemnica starego gołębnika", o 17.40 — PKF, o 17.55 jeszcze jeden teleturniej — tym razem zatytułowany „Zgadnij kim jestem". Po teleturnieju i po dzienniku telewizyjnym, który zacznie się o 17.45 — „Piosenki majowe" — inscenizacja studia warszawskiego.

O 20 interesujący film produkcji angielskiej — „Pamiętniki majora Thompsona", natomiast o 21.45 berliński program estradowy, który nada Warszawa.

Potem — kto rozsądny — idzie do łóżeczka spać.

XIII Wyścig Pokoju w telewizji

Zanosi się na to, że od chwili ostrego startu kolarze Wyścigu Pokoju będą mieli mało samotnych chwil na trasie, samotnych to znaczy takich, które na bieżąco nie byłyby relacjonowane tysiącom radiosłuchaczy i telewidzów.

Jak będzie wyglądała obsługa tegorocznego Wyścigu w telewizji? Z tym pytaniem zwracamy się do inż. Ostrowskiego, z Telewizji Łódzkiej, który ma już w ręku gotowy plan transmisji.

Na wstępie jednak kilka uwag ogólnych. Telewizja posługiwać się będzie wozami transmisyjnymi na metach etapowych i helikopterem, który będzie wchodził do akcji, gdy kolarze znajdą się 20 km od mety.

Dla ciekawych: transmisja z helikoptera odbywać się będzie za pośrednictwem dwóch stacji przekaźnikowych — jednej zainstalowanej 15 km od mety i drugiej 7 km od mety. Na pokładzie helikoptera znajdzie się operator TV i sprawozdawca radia, dźwiękowa relacja będzie więc w TV ta sama co w radio. Prócz tego Wyścigowi towarzyszyć będą operatorzy filmowi telewizji, których sprawozdania ze startu do danego etapu wyświetlane będą przed relacją z zakończenia tego samego etapu.

Był również projekt prowadzenia fragmentarycznej transmisji z trasy na żywo, przy pomocy małego urządzenia kamera — nadajnik zainstalowanego na samochodzie. Niestety wykonawcy nie zdążyli przygotować aparatury, na czas.

A teraz szczegółowy program transmisji telewizyjnych z Wyścigu.

2.5. Transmisja z Brna godz. 16.50—17.50.

3.5 Transmisja z Bratysławy godz. 17.20—18.40.

4.5. Transmisja z Gotwaldowa godz. 16.50—18.

6.5 Transmisja z Krakowa godz. 16.30—17.45.

7.5. Transmisja z Katowic godz. 18.50—19.50.

8.5. Transmisja z Łodzi godz. 16.40 — 17.50.

9.5. Transmisja z Warszawy godz. 15.40—16.50.

10.5. Transmisja z Poznania godz. 17—18.20.

11.5. Z Poznania montaż filmowy z dotychczasowego przebiegu Wyścigu.

12.5. Transmisja z Frankfurtu nad Odrą godz. 17—18.30.

13.5. Transmisja z Drezna godz. 17—18.20.

14.5. Transmisja z Lipska godz. 17—18.20.

15.5 Transmisja z Magdeburga godz. 17—18.20.

16.5. Transmisja z Berlina godz. 17—18.20.

Życzymy przyjemnego odbioru.

Obejrzeliśmy:

„Poddasze"

Telewizyjna wersja kabaretu „Poddasze" w stosunku do wersji oryginalnej, tej którą mieliśmy okazję oglądać w klubie studenckim przy ul. Piotrkowskiej — została łagodnie mówiąc, nieco zubożona. Zubożona o kilka najlepszych (choć też i — najtrudniejszych) tekstów, „przemieniona" i pokręcona.

To też byliśmy raczej rozczarowani. Na planie panował rozgardiasz, który w zamyśle realizatorów miał imitować beztroską i naturalną zabawę cyganerii, w praktyce zaś wypadł sztucznie i dęto. Kamery jeździły sobie tu i tam bez jaśniej sprecyzowanego planu, twórczyni kabaretu **Irena Fenigsen** siedziała i łypała zza okularów (co sprawiło wiele radości znajomym, ale zdaje się tylko znajomym), **Piotr Hertel** gadał coś z początku, czego niestety mikrofon nie uchwycił, a bardzo przystojna wiolonczelistka (którą mogą sobie państwo obejrzeć na jednym z zamieszczonych zdjęć z próby) uprzejmie pozwalała

portretować swój nieskazitelny profil.

Nawet kapitalny „Lorenzo", odśpiewany przez **Gustawa Lutkiewicza** przeważnie tyłem do kamery — nie dotarł i nie chwycił, o co żal szczery czujemy.

Ostała się tylko „Chała", „Najgorszy kwartet świata", słynna „Chała" w składzie: **Eugeniusz Kamiński, Gustaw Lutkiewicz, Zenon Płoszaj** i **Henryk Abbe** — wypadła znakomicie. Już nie tylko to że chłopaki (przepraszam — nie od dziś wiadomo, że wszelkie zdrobnienia są w Polsce dowodem miłości i szacunku) śpiewają naprawdę świetnie i z kapitalnym parodystycznym zacięciem, ale operatorzy i mikser obudzili się z nagła przy „Chale" i dla dowcipnych treści znaleźli dowcipną formę podania. Daleki plan, cięcie, ujęcie na trzy czwarte z lewej, ciach, ujęcie na trzy czwarte z prawej, ciach, znów daleki plan.

Bardzo wesołe, bardzo przyjemne. Nawiązując do naszych starych propozycji, prosimy aby pokazywać nam „Chałę" przynajmniej raz w miesiącu w nowym repertuarze. Co nie znaczy, aby zerwać nawiązany kontakt z „Poddaszem", ale przy następnej realizacji trzeba będzie poszukać chyba jakiejś bardziej przekonywającej formy podania.

j. p.

„Dziennik Łódzki" — pismo handlowe i literackie, rocznik 1885 miesiące VII — XII. Nry — 137, 142, 144, 146, 213).

Z KRONIKI KRAJOWEJ

Przyrodnicy warszawscy podobno gotują p. Rogozińskiemu po powrocie jego z Afryki wielkie owacye. Radzilibyśmy się wstrzymać z tem, aż się wyświetli, czy na podróży p. Rogozińskiego skorzystają co nasze muzea, literatura i nauka, bo dotąd, jakoś tego nic nie widać.

ŁODZIANIE W WARSZAWIE...

Znany publiczności naszej tenor bohaterski p. Kamiński doznaje w Warszawie nader sympatycznego przyjęcia! Artysta — śpiewak z trupy naszego dyr. Texla p. Bandrowski ma wystąpić również na scenie teatru letniego w Warszawie w operach Faust, Violetta i Fra-Diavolo.

ŁÓDZKA DONŻUANERIA NIE ZASYPIA

W tych dniach zaczepiono znów jedną z pań, wracającą z dworca kolei. Natręt usiłował bawić spotkaną tak banalną pogadanką i tak uporczywie dotrzymywał jej towarzystwa, że zmuszoną była skrócić drogę i wstąpić do znajomych. Radzimy owemu jegomościowi (z białym psem) zaprzestać nieprzyzwoitych zaczepek, gdyż może narazić się na niemiłe następstwa!

NAUKA STENOGRAFII

ma być wprowadzoną do wszystkich średnich zakładów naukowych (za granicą).

PANNA — MĘŻATKA...

Dziś w teatrze polskim Victoria „Panna mężatka", komedya w 3 aktach Korzeniowskiego (2-gi występ Panny Czarli w roli Cecylii) i „Jestem zabójcą", jedna z pośmiertnych komedyi Aleksandra hr Fredry.

RÓŻE DLA BETTINY...

Na benefis panny Maryi Texel przedstawioną będzie jutro w teatrze Victoria „Bettina", operetka w 3 aktak p.p. Chivot i Duru z muzyką Edmunda Audrana. Benefisantka potrafiła zjednać sobie od pierwszego wystąpienia na scenie naszej sympatye publiczności i trzeba przyznać, że zasługuje na takową usilną pracą i postępem, co mieliśmy sposobność zaznaczyć niejednokrotnie w czasach ostatnich. Wiemy, że publiczność nasza proteguje benefisy artystów, spodziewamy się więc, że i jutrzejszy odbędzie się przy pełnej sali teatralnej i z bukietami róż.

URZĘDNICY BANKOWI

Pracownicy Banku Polskiego posiadający stopnie naukowe a zajmujący dość nizkie posady przy reorganizacyi mają otrzymać pensyą conajmniej 1000 rubli.

PRZEDSTAWIENIA

z dzikiemi zwierzętami zostały w Berlinie zakazane przez policyę, gdyż drażniły publiczność.

OGŁOSZENIE KARNAWAŁOWE

Na nadchodzący karnawał, polecam na zabawy tańcujące — doborową muzykę fortepianową, a podług życzenia fortepian ze skrzypcami. J. Taube ul. Konstantynowska nr 321 — dom Lipińskiego.

ORDER DLA KOBIET

Order dla kobiet został ustanowiony w Persyi. Najprzód obdarzył nim szach 4 swe ulubione żony z pośród 17-tu,

wybrał
ZDZISŁAW KONICKI

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łodzka" * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 90. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie 1,— zł. kwartalnie 12,— zł. * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 Z. 1291. IV. 1960 r. R-4

EKRANIK

WOREK Z IMPREZAMI filmowymi rozwiązał się nad Łodzią! Nareszcie da się napisać coś pozytywnego o działalności Okręgowego Zarządu Kin, który nigdy dotąd nie wykazywał się zbytnią ruchliwością i pomysłowością, poza... wykonywaniem planów finansowych, I tak —

W KINIE „REKORD" trwa do 8 maja przegląd filmów wielkiego reżysera szwedzkiego, Ingmara Bergmana, obejmujący „Wakacje z Moniką", „Uśmiech nocy", „Letni sen", „Wieczór kuglarzy" i „Siódmą pieczęć". Trudno coś dodać do tej listy, najwyżej słówko gorącej zachęty dla widzów — by nie przepuścili rzadkiej okazji zobaczenia dzieł jednego z najbardziej wrażliwych realizatorów filmowych naszego stulecia.

W KINIE „OKA" (Garnizonowy Klub Oficerski) zorganizowano natomiast przegląd filmów, w których występuje Gerard Phillipe. Program obejmuje kilka tytułów, które w zasadzie wyszły już z normalnej eksploatacji („Urok szatana", „Czerwone i czarne", „Piękności nocy").

TRZECIA IMPREZA — to planowana na 2 maja wystawa publikacji i plakatów filmowych w Łódzkim Domu Kultury. Gwoli sprawiedliwości trzeba wspomnieć, że współorganizatorem ciekawej, na dużą skalę pomyślanej wystawy — jest łódzka ekspozytura Centrali Wynajmu Filmów.

WRESZCIE — to już ostatnia z imprez przełomu kwietnia i maja — w sali TPP-R odbywają się stałe pokazy Klubu Filmu Oświatowego — pierwszej tego rodzaju placówki w Polsce. Szczególnie ciekawe przeglądy wyznaczono na początek maja. I tak — 4 maja reżyser Włodzimierz Puchalski, twórca świetnych i wielokrotnie nagradzanych za granicą filmów przyrodniczych — przedstawi swoje najciekawsze pozycje. Tydzień później w programie pokazu przewidziano filmy astronautyczne. Imprezy Klubu są w zasadzie dostępne dla wszystkich, karnety można nabywać codziennie w ŁDK.

„WIDOK Z MOSTU" — świetny dramat Artura Millera, który łodzianie mają właśnie możność oglądać w Teatrze Jaracza — doczeka się sfilmowania... we Francji(!). A jedną z głównych ról odtwarzać będzie Raf Vallone, aktor... włoski.

JAK ZWYKLE — premiery nowych filmów odbywają się w Łodzi ze znacznym opóźnieniem. Warszawiacy oglądali już świetny film amerykański „Wszystko o Ewie" i francuski „400 batów". Na Śląsku wyświetlono włoski „Krzyk" i francusko-włoski „Oko za oko" Andre Cayatte'a. A u nas — w kółko „Kawaler króla jegomości"...

DONALD

JEANNE VALERIE — odniosła swój największy sukces w filmie C. Chabrola „Na dwa spusty"

Kolorowym atramentem

Kupiliśmy „Damę Kameliowa" — sławny film Cukora sprzed prawie ćwierćwiecza, z Gretą Garbo w roli tytułowej. Po latach oczekiwania obejrzymy debiut reżyserski Jacquesa Tati, „Dzień świąteczny". Doczekamy się też premiery „Towarzyszy broni", świetnego, antywojennego dzieła Jean Renoira.

Bardzo się chwali, że Rada Repertuarowa sięgnęła wreszcie do klasyki. Lecz w wypadku „Towarzyszy" — prawdopodobnie zapłaciliśmy za ten film znacznie drożej, niż by wypadło parę lat temu. W międzyczasie znakomity obraz Renoira miał na Zachodzie uroczyste wznowienie, odniósł ogromny sukces w kinach premierowych różnych stolic. A w związku z tym producenci natychmiast podbijają ceny...

Dobrze, że jednak kupujemy filmy klasyczne, choć szkoda, że tak mało. Bo w decyzjach o zakupie filmów współczesnych zdarzają się niestety fatalne pomyłki. Wkrótce zobaczymy na ekranach straszliwe szlagierowe paszkwilidło austriackie pt. „Córka leśniczego" — w niczym nie ustępujące najnędzniejszym powieściom zeszytowym. Poczęstuje nas także wspomniana Rada szmirowatą komedią meksykańską „Szalona noc", która urąga elementarnym zasadom dobrego smaku. Wprowadziliśmy na ekrany zachodnioniemiecki, wybitny artystycznie, lecz ideowo dwuznaczny film „Nocą kiedy przychodzi diabel". Ogólnie rzecz biorąc — najwięcej — delikatnie mówiąc niepowodzeń — zdarza się przy zakupie kinowych filmów austriackich i podejrzanych pozycji z NRF, że przypomnę tu jeszcze „Dwoje, matki i generał".

A teraz inny fakt: odczuwamy nieustanny brak w repertuarze naszych kin wartościowych filmów rozrywkowych, zwłaszcza wesołych komedii. Wiemy dobrze — na całym świecie ten gatunek przechodzi wyraźnie kryzys, wcale nielatwo znaleźć dobrą współczesną komedię.

Chyba i tu warto przepatrzyć stare filmy, choćby przypominane przez nas w „Mieszance" komedie braci Marx. Kto wie, czy nie warto by wznowić (koniecznie w nowych kopiach!) od lat nie oglądanych w Polsce filmów Grzegorza Aleksandrowa: „Świat się śmieje", „Cyrk", „Wiosna". Kasowy sukces chaplinowskiej składanki „Śmiech zabroniony" wskazuje dobitnie, że data produkcji nie interesuje tak bardzo przeciętnego widza.

Pamiętajmy przy tym, że nasza widownia w ogromnie szybkim tempie ulega odmłodzeniu. Już bardzo nieliczny procent widzów widział lub pamięta „Cyrk" i „Noc w Casablance".

Przyznajmy, mamy wcale nie najgorszy i urozmaicony repertuar kin. Lecz mógł by być o wiele lepszy, zwłaszcza w dziedzinie filmów rozrywkowych, gdyby Rada Repertuarowa śmielej i pełniej uwzględniała starsze pozycje. Z dwojga złego — zamiast durnych i bzdurnych, pozornie nowych „Szalonych nocy" — poczekajmy więc raczej na wartościowszymi, ale na pewno wartościowszymi.

J. W.

LOTTI ALBECK — młoda aktoreczka duńska

NOWE PREMIERY POLSKICH FILMÓW

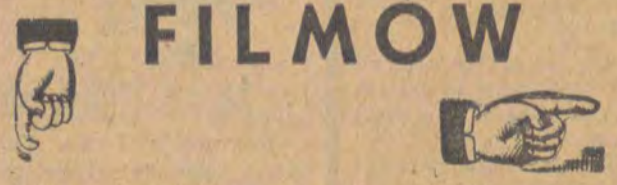

„Miasteczko"

Myślę, że film Drobaczyńskiego, Łęskiego i Dziedziny jest nieudany. Aż do przedostatniej sekwencji młodzi autorzy nie bardzo wiedzieli co w końcu zrobić z bogatym, rzetelnie zebranym materiałem obserwacyjnym.

Równoległe uruchomienie wielu różnorodnych wątków, kilkunastu, jeśli nie kilkudziesięciu postaci — wskazywało, że będzie to bezpretensjonalny, unikający zasadniczych rozstrzygnięć obrazek obyczajowy. I jak mi się wydaje — z takiego kształtu filmu wszyscy mogliby być zadowoleni. Uchwycono przecież dużo z odpustowo-małomiasteczkowej atmosfery; ten rozmodlony, klękający podczas podniesienia tłum, ta brzydota glinianych kościuszków i kotów, rymowane wykrzykiwania kramarzy... i małe prowincjonalne kłopoty, ambicyjki.

Ale autorzy „Miasteczka" zrezygnowali z obiektywnej wymowy obyczajowego obrazka. Młodego właściciela jedynego w miasteczku samochodu i jego dziewczynę kreowano w ostatnich scenach filmu na bohaterów głównych, podsuwając dylemat: zostać w miasteczku i pomagać ojcu z perspektywą dziedziczenia połowy dużego ogrodu czy wyjechać „w Polskę".

W poincie filmu jest już tylko wulgarna publicystyka. Na dodatek publicystyka sprzeczna z zasadami dzisiejszej polityki w stosunku do małych miasteczek. Bo jak to w czasach wzmożonej aktywizacji prowincji, kiedy starania idą w tym kierunku, by właśnie młodzi zakładali rodziny i „budowali" nowe życie w rodzinnych, zaniedbanych miasteczkach — Drobaczyński, Dziedzina i Łęski każą swoim bohaterom — zupełnie jak przed dziesięcioma laty — zostawić wszystko i wyjechać. Przezornie nie mówią dokąd. Okazało by się bowiem, że niewiele jest większych miast przemysłowych, gdzie sprawy meldunkowe załatwiane są bez trudu...

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

„Do widzenia do jutra"

Ukazanie się tego filmu na ekranach poprzedziła złośliwa fama wróżąca mu fiasko artystyczne. Wierząc trochę tym opiniom spotkało mnie miłe rozczarowanie. Janusz Morgenstern, znany dotychczas jako drugi reżyser „Kanału" i „Popiołu i diamentu", zrealizował film, który jak najlepiej świadczy o warsztacie twórczym debiutanta. „Do widzenia do jutra" jest również debiutem scenopisarskim popularnych aktorów: Zbigniewa Cybulskiego i Bogumiła Kobieli oraz znanego literata Wilhelma Macha. Wszyscy oni stworzyli film, którego gatunek w naszej kinematografii współczesnej był raczej pomijany. Oddanie lirycznej atmosfery miłości dwojga młodych przychodziło naszym twórcom jak dotąd z pewnymi trudnościami.

Sprawy tzw. młodzieży trudnej odnajdujemy w bardzo ciekawych i potrzebnych filmach Poręby („Lunatycy") i Różewicza („Miejsce na ziemi"). Toteż chyba nie bez kozery twórcy „Do widzenia, do jutra" chcieli pokazać, że młodzież nie jest w całej swojej masie cyniczną i zepsutą, że jest również młodzież, której bliskie może być uczucie szlachetne i czyste.

Film Morgensterna stanowi potrzebny głos w dyskusji o młodzieży. Bohaterowie filmu — ludzie wcale nie z „innej planety" — reprezentują środowisko młodzieży plastycznej i aktorskiej; młodzieży tego kręgu społecznego, któremu jakże często niesłusznie stawia się zarzut cynizmu.

W swoim pierwszym filmie Janusz Morgenstern zaprosił do współpracy samą młodzież. Sympatycy studenckich teatrów „Bim-Bomu" i „Co to" z łatwością odnajdą na ekranie znajome twarze. Liryzm dawnego „Bim-Bomu" i obecnego teatrzyku rąk jest w tym filmie bardzo wyczuwalny.

Teresa Tuszyńska w roli Margueritte ujmuje niebanalną urodą, dziewczęcym wdziękiem. Niewątpliwie filmem tym zdobędzie sympatyczna modelka z „Ewy" jeszcze większą popularność. Świetnym pomysłem okazało się zdubbingowanie tej roli przez autentyczną cudzoziemkę.

Truizmem byłoby pisanie o popularności Zbyszka Cybulskiego. Liryczna rola Jacka jest chyba jak żadna dotąd bardzo bliska jednemu ze współtwórców „Bim-Bomu" i całego ruchu studenckich teatrów; niestety, nad jego indywidualnością chyba jeszcze długo będzie ciążyła świetna kreacja Maćka z „Popiołu i diamentu".

Na zakończenie należy wspomnieć o świetnych sekwencjach zrealizowanych przy współudziale gdańskiego teatrzyku „Co to", czy też o świetnym filmowo epizodzie z ogniskami papierosów.

Filmowi „Do widzenia, do jutra" wbrew sceptykom, a dzięki poprawnej reżyserii, jak zawsze świetnym zdjęciom Jana Laskowskiego („Ostatni dzień lata") i bardzo świeżemu tematowi — można wróżyć powodzenie nie tylko na ekranach krajowych.

A. NIEŚMIAŁEK

Teresa Tuszyńska w filmie „Do widzenia do jutra"